ROK·8· KURYER NR·51·

LITERACKO NAUKOWY

WYCHODZI CO NIEDZIELĘ POD REDAKCJĄ PROF. MIECZYSŁAWA DĄBROWSKIEGO.

Dodatek do Nru 352 go „ILUSTROWANEGO KURYERA CODZIENNEGO" z dnia 21-go grudnia 1931 r.

Dr Zofja Krzemicka (Lwów).

W stulecie rzezi powstańców polskich w Elblągu i Fischau.

Amnestja rosyjska — Szykany w Prusach. — T. zw. „grupy opornych". — Haniebna rzeź w Elblągu 12. grudnia 1831 r. Strzały do bezbronnych powstańców w Fischau. — Sądy pruskie uniewinniają zbrodnie mordu. — Brutalność pruska wobec oficerów polskich. — Zawsze ci sami.

Kraków, 20 grudnia.

Jesienią 1831 r. rząd i wojska polskie opuściły ziemię ojczystą, ustępując przed przemocą rosyjską. Bezbronne, gdyż broń złożyć musiały, przekroczywszy *granicę pruską rzesze polskie*, groźne były swą *potęgą moralną* — nieliczne, zapełniały świat cały swą sławą, niespożyte, choć dziesiątkowane przez śmierć i męczeństwo. — Chwalbą, okrzykiem uwielbienia przyjęła ich cała Europa; ludy witały w nich przedświt wolności, wyrażając równocześnie potępienie rządom absolutnym.

I zadrżał car w Petersburgu przed siłą opinji, przed burzą nienawiści, którą przeciw niemu rozpętała wśród ludów Europy krzywda Polski. Obedrzeć zapragnął z nimbu bohaterstwa tych bojowników wolności, którzy z protestem przeciw uciskowi przebiegali szlak z *Niemiec* ku *Francji*. — W tej myśli, po dłuższych pertraktacjach z rządami trójrozbiorców Polski, ogłasza car w ciągu listopada 1831 r. *amnestję*. Amnestję całkowitą dla powracających żołnierzy i podoficerów, pełną zastrzeżeń dla oficerów, elementu uświadomionego, mniej pożądanego w państwie despoty, z zupełnem zaś wyłączeniem osób skompromitowanych. Gdyby powrócili, władza samodzierżcy upora się z ich mrzonkami wolnościowemi, a tajnie kazamat, kaźnie Sybiru nie wywłoką już krzywd polskich przed forum Europy.

Mężowie stanu *Austrji* i *Prus* również uświadomili sobie niebezpieczeństwo, tkwiące dla rządów absolutnych w tym pochodzie apostołów wolności; gazetom zabronionem było pisać o *sromotnem, wysługującem się Rosji postępowaniu Prus i Austrji podczas powstania*, pozwolono zniszczyć przystań wolności w dalekiej Warszawie — pisze dziennikarz niemiecki — na to, by teraz wolność sama uwijać się mogła po kraju, pukać od chaty do chaty i przez usta swych 20.000 kaznodziei opowiadać, jak się *za wolność walczy i cierpi*... Owacyjne przyjęcie ludności dawało powód do niepokoju. Rządy corychlej pozbyć się pragną ze swych krajów niepożądanego, a kosztownego żywiołu, gdyż rząd rosyjski, po wydaniu amnestji, odmawiał zwrotu kosztów utrzymania żołnierzy polskich. Ułatwić chcą Rosji dzieło pacyfikacji. Sypią się na nieszczęsnych polskich przybyszy *szykany* coraz uciążliwsze na granicy; przydługie kwarantanny, odmawia się im paszportów do Francji. Z inicjatywy rządu pruskiego wychodzi rozkaz *zamknięcia komitetów opiekujących się polskimi uchodźcami*, którzy nie zdążyli się jeszcze wydostać poza granice Prus. A przedewszystkiem idzie o zerwanie łączności żołnierza polskiego z jego dowódcą. Odłącza się tedy szeregowców od oficerów, poddaje się ich pod pruską komendę, pod pruski regulamin. Powołując się na akt łaski carskiej, król pruski wydaje apel do polskich żołnierzy, by korzystali z ofiarowanego dobrodziejstwa i natychmiast, bez sprzeciwu, *wracali do kraju*. Jednocześnie przyrzeka oficerom wstawić się za nimi i wyjednać *przebaczenie* dla tych, „którzy się sami zgłoszą do łaski carskiej". Nie na to, by z pochyloną głową błagać carskiej wspaniałomyślności, wyszły z ojczyzny polskie zastępy, nie na to, by wracać pod władzę knuta, w pęta. Skąpe wieści z kraju brzmią smętnie, *sroży się tam* nieubłagany zwycięzca. Ku *Francji* zwracają się oczy wszystkich. Dawna towarzyszka broni nie odmawia schronienia.

RZEŹ POLAKÓW WE FISCHAU d. 27. I 1832 r. — Według sztychu współczesnego Raffet'a. Ze zbiorów Muzeum Lubomirskich we Lwowie.

I wśród *oficerów* i wśród opuszczonych, lecz świadomych swego celu *żołnierzy* wszczyna się coraz żywszy, żywiołowszy pęd ku *francuskiej granicy*. Niezmożona energja gen. Bema dostarcza środków potrzebnych. Rząd pruski jednak wzmaga utrudnienia, nie chcąc dopuścić, by za granice państwa wyszła znaczniejsza liczba ludzi, którzyby zasilili żywioł ruchu i rewolucji, którzyby stworzyć mogli gotową zbrojną formację, przyszłe kadry dla Polaków z pod wszystkich zaborów. Z iście pruską bezwzględnością zabiera się do dzieła. Opisu tej działalności dostarczają nam źródła pruskie.

Władze pruskie nie dopuszczają do Prus pism z Francji, zabronione są nawet gazety belgijskie. Żołnierzy, do których nie dopuszcza się oficerów, dzieli się na grupy, z wyłączeniem bardzo nielicznych „skompromitowanych", starają się siłą doprowadzić do *rosyjskiej granicy*. Nie wielka ilość jednak okazuje się powolną; powstają grupy t. zw. *„opornych"*, przeciw którym władze pruskie występują z całą surowością. Oficerowie polscy, nieraz w przebraniu starają się dotrzeć do swoich oddziałów, niektórzy żołnierze i podoficerowie, jako ordynansi oficerscy w pojedynkę wymykają się *do Francji*.

RZEŹ POLAKÓW W ELBLĄGU d. 22. XII 1831 r. — Według sztychu współczesnego W. Bellange'a. Ze zbiorów Muzeum Lubomirskich we Lwowie.

Lecz mimo brutalności, z jaką władze pruskie znaglały szeregowców do powrotu do zaboru rosyjskiego, polscy szeregowcy opierali się z całej siły wrogim zakusom. Pozbawieni oficerów, w obcym kraju, niedostatecznie żywieni, nędznie odziani, choć nęceni obietnicą łask w Rosji, a straszeni perspektywą niedoli we Francji, korzystali ze wszelkich sposobów wydostania się i odnosili się do zarządzeń pruskich z głębokiem niedowierzaniem. Poczęli stawiać *opór pruskim dyslokacjom*, mającym zbliżyć ich do rosyjskiej granicy.

W *Neuteich* omal nie doszło do starcia między żołnierzami 4 pułku piechoty polskiej, wzburzonymi wieścią o oczekujących ich w *Elblągu Moskalach* a kompanją pruską. Na zapowiedź wezwania przeciw nim artylerji, żołnierze polscy doprowadzeni do rozpaczy, *rozkładają się obozem na ulicach*, oświadczając, że dalej nie pójdą. Na skutek interwencji mieszkańców i kilku oficerów polskich, obecnych w mieście, zajście zostało zlikwidowane. Przyrzeczono Polakom uwzględnić ich żądania. Lecz gdy mimo to zarządzono znów nową dyslokację do *Preuss-Holland*, pułk artylerji polskiej, stanąwszy dnia *22 grudnia 1831* wieczorem na rynku w *Elblągu* oświadczył, że raczej zginą, aniżeli wydać się pozwolą Moskalom. Otoczył ich tedy oddział *huzarów Canitza* i na rozkaz generała *Rummla*, który z okna z zimną krwią śledził tę scenę, wykonał *krwawą szarżę* płazując i kłując szablami bezbronnych Polaków. Wedle sprawozdań pruskich, *kilku Polaków legło na placu*, kilku odniosło mniejsze kontuzje.

Krzyk oburzenia rozległ się w całej Europie, w Niemczech samych *zaprotestowano* przeciw *znieważeniu prawa gościnności*. Rząd pruski odwołał wprawdzie generała Rummla, który pocieszył się wysokiem *odznaczeniem rosyjskiem*. System jednak nie uległ zmianie, co doprowadziło znowu do *rozruchów w Tczewie*, gdzie oddział *500 ludzi kawalerji* dopiero po pięciodniowem zamknięciu godził się ruszyć ku granicy *rosyjskiej*. Dla uspokojenia wzburzonych umysłów polskich przyrzekł generał Schmidt, następca generała Rummla wydać *paszporty do Francji najbardziej* skompromitowanym.

Lecz pomimo obietnicy wydania paszportów wszystkim zgłaszającym się, major pruski *Schweykovsky* zawiadomił *d. 27 stycznia 1832 r.* oddział polski, stojący we *Fischau*, że na rozkaz generała tylko nieznaczna liczba dostanie paszporty, reszta zaś ma odejść do Rosji, a gdy nie uczynią tego dobrowolnie, wydani zostaną *siłą*. Rozgoryczeni tym rozkazem żołnierze, podążyć chcą do *Malborga*, by zażądać tam od generała dotrzymania przyrzeczenia. Lecz oddział obrony krajowej pruskiej *zastąpił im drogę*. Stanęły polskie szeregi zwartym rzędem, a gdy zaintonowały *marsz Chłopickiego*, rozległa się komenda

pruskiego kapitana Richtera *„Ognia!"* Ostre strzały padły w gromadę bezbronnych Polaków. Dziewięciu zabitych, znaczna część *rannych na placu*, reszta się rozproszyła, jak melduje oficjalne sprawozdanie pruskie.

By usprawiedliwić w oczach oburzonej Europy i własnych poddanych ten *brutalny akt przemocy* i nadać mu pozory aktu prawnego, władze pruskie zwołały *sąd wojenny*, gdzie oprawcy przeobrażeni w sędziów, *skazali na więzienie Polaków*, osądzonych za gwałtowny *opór władzy*. Zacny Amerykanin *dr. S. Howe*, który w porozumieniu z gen francuskim *Lafayettem* ruszył do Elbląga, by przyjść z pomocą Polakom, do których dotrzeć nie mógł „wysłannik francuski", został tamże aresztowany za *„szerzenie zamętu"*.

Gdy jednak mimo wszystko spora liczba żołnierzy polskich *opierała się powrotowi*, wydał gabinet pruski dnia 23 maja 1832 rozkaz, że „ci, którzy nadal trwać będą w uporze niewracania do Polski uważani będą za ludzi, na których ciążą *osobiste zbrodnie*. I ci „niepoprawni" zostali wzięci pod ścisły *dozór*, zamknięci w twierdzach, w Gdańsku, w *Piławie i Grudziądzu*, użyci byli do ciężkich robót. Niektórzy uległszy wreszcie terorowi, *powrócili do Polski*, niektórych wydostać zdołali rodacy przy pomocy zagranicznej interwencji i ci wytransportowani zostali do portów francuskich lub amerykańskich. A inni wreszcie — zapomniani legli wśród zawodów...

Na emigrowanie *oficerów* rząd pruski patrzał również niechętnie, nie śmiał jednak występować tak otwarcie, ograniczał się tylko do robienia *trudności w wydawaniu paszportów*, a mimo trzaskających mrozów i ran nieraz otwartych, przynaglał ich tylko do wyjazdu. Gen. *Rybiński dwukrotnie pisał do króla pruskiego*, żaląc się na zachowanie władz pruskich wobec polskich żołnierzy i przypominał warunki kapitulacji, lecz *nie otrzymał żadnej odpowiedzi*.

System wypierania w ręce wroga ludzi, którym zapewniono uroczyście schronienie, niczem *nie da się usprawiedliwić*. Prusacy, świadomi ogólnego odruchu społeczeństw, starali się przez szereg broszur i ulotek *zwalić winę na Polaków*, piętnując ich niekarność i buntownicze usposobienie. Ale *napróżno*. — Niemcy, nawet wyrzekając się swej solidarności współplemiennej dawali wyraz oburzeniu przyjmując jeszcze serdeczniej przejeżdżających Polaków ze słowami: *„Wszak myśmy nie Prusacy!"* Współczesne *sztychy francuskie* przechowały pamięć *krwawej rzezi w Elblągu* i *Fischau* i napisy pełne wyrazów potępienia dla sprawców. Dziś z perspektywy stuletniej mniej nas już dziwią owe *akty ulegalizowanego gwałtu i teroru ze strony pruskiej*. W tem szaleństwie jest *metoda*. Dowiodły tego liczne *akty samowoli pruskiej*, ubrane w pozory prawa podczas wielkiej wojny. *Masakry bezbronnych w Belgji i Francji, pogromy w Królestwie Polskiem* — to odpowiedniki *rzezi w Elblągu i Fischau przed stu laty*.

IZA PIERZCHALANKA (Lwów).

OJCZE NASZ

dla dziatek moich
kromę jasnego słońca daj mi
i pozwól mi wypłakać ich wszystkie przyszłe łzy —

o, pozwól mi twarzyczki ich ustroić
rumianą krasą zdrowia i uśmiechem
i — niechaj gardzą grzechem.
I jeszcze jedną prośbę
do Twych dalekich śle nieb:
kiedy rączyny drobne sięgną po chleb,
niechaj go zawsze znajdą — o, Boże!

MIECZYSŁAW ZIELENKIEWICZ

BIAŁY DYKTATOR.

Wedety mkną! — —
Jakby na wiosnę, kwiat jabłoni
Z pod nóg się sypie białych koni,
A biały brukarz na ponowę
Rozściela płyty kryształowe.

Wedety mkną! — —

— — — — — — — — — —

W walce ze życiem i w przymierzu
Idzie dyktator w srebrnej zbroi,
Słońce zatrzymał na pancerzu,
Hufce mu podbił i rozbroił.

Z ziemi poderwał gwiazd kurzawę
I rzucił słońcom w toń błękitną,
Wichrów rozpętał pęd i wrzawę,
Gdzie spojrzy białe kwiaty kwitną.

Z szaleństwa lotów fantastycznych
Rytm wypromienia białej pieśni
I z białych nocy śnień mistycznych
Na księżycowej spocznie pleśni.

Okruchy.

Chorwacka rozprawa o morzu w naszej literaturze.

Zagrzebski slawista *Dr. Ivan Esih*, który z początkiem bieżącego roku ogłosił w sarajewskim miesięczniku *„Napredak"* i w osobnej broszurze rozprawę o *polskiem słowianofilstwie* z szczególnem uwzględnieniem stosunków polsko-chorwackich, opublikował znów w splitskiem czasopiśmie *„Jadranska straža"* rozprawę p. t. *„Morze w polskiej literaturze"*. Wydał ją również w osobnej odbitce w formie broszury, ilustrowanej sześciu fotografjami naszych statków.

Asumpt do napisania tej miłej rozprawki dała Esihowi zeszłoroczna dziesiąta rocznica *„zaślubin Polski z morzem"*. Na wstępie określa w niej autor pokrótce gospodarcze i polityczne znaczenie *Gdyni*, którą nazywa symbolem *„twórczych zdolności i życiowej siły polskiej republiki"*, wspomina o działalności *„Instytutu Bałtyckiego"* i *„Ligi morskiej"* wraz z jej organem *„Morze"*. Podmalowawszy zaś w najogólniejszych rysach *motyw morza w literaturze jugosłowiańskiej i niemieckiej*, nawiązuje do studjum prof. *Romana Pollaka* p. t.: *„Morze w poezji polskiej"*.

Motyw morza znajduje Esih już u *Galla-Anonima*, którego dzieło nazywa poetyczną powieścią. Wymienia następnie *Kochanowskiego*, w którego twórczości morze nie odegrało prawie żadnego znaczenia, oraz *Marcina Borzymowskiego* opis podróży morskiej z Gdańska do Lubeki. Cały czar morza spotykamy dopiero w *„Sonetach krymskich"* Mickiewicza, który właściwie pierwszy wprowadza morze do naszej poezji i mistrzowsko je opiewa. Za najlepszy poemat polski o morzu uważa jednak *„Genezis z Ducha"*. Bezpośrednio potem wylicza Esih *Konopnicką, Wyspiańskiego („Powrót Odyssa"), Felicjana Faleńskiego, Gomulickiego, Oppmanna, Gruszeckiego* z jego powieścią *„Tam, gdzie się Wisła kończy"* jako pierwszą u nas powieścią na tle życia kaszubskich rybaków, Przybyszewskiego i dwóch autorów powieści dla młodzieży: *Przyborowskiego* i *Umińskiego*, o którym powiada, że zasługuje poniekąd na nazwę polskiego *„dopełnienia Juljusza Verne'go"*.

U wielkich naszych powieściopisarzy doby pozytywizmu niema miejsca dla motywów morskich, uwaga społeczeństwa nie zwraca się w jego stronę. Dopiero czujny i przewidujący duch *Żeromskiego* już w *„Róży"* poświęca Kaszubom i morzu naszemu żywszą uwagę i stara się obudzić zainteresowanie polskiej myśli problemem morskim. Odtąd Żeromski nie spuszcza z oka tej sprawy *(Uroda życia, Wisła, Snobizm i postęp, Wiatr od morza, Międzymorze)*. *„Ani jeden z polskich literatów* — pisze Esih — *z taką miłością nie opisał czarów polskiego Pomorza i Helu, co Żeromski. On to przedewszystkiem zasłużył na nazwę poety polskiego morza i wybrzeża"*. A znaczenie *„tych jego dzieł wychodzi poza ramy literatury i sięga głęboko w pokłady aktywnego narodowego i państwowego życia"*. Żeromskiemu też poświęca Esih znaczną część tej swojej rozprawy.

Z nowszej literatury wylicza prócz niego *Ligockiego, Jerzego Bandrowskiego, Zaruskiego, Sosnkowskiego, Grabińskiego, Salińskiego, Ossendowskiego, Brzęczkowskiego*, a wreszcie *Słonimskiego („Pod zwrotnikami")* i *Tadeusza Dębickiego*, a bezpośrednio po Żeromskim dłuższy ustęp poświęca życiorysowi i twórczości *Conrada-Korzeniowskiego*, którego zalicza do polskiej literatury, gdyż myślał po polsku, aczkolwiek pisał po angielsku. Rozprawę swoją kończy dr. Esih następującemi słowy:

„Każda cegła, wbudowana w Gdyni, umacnia polską sytuację na Bałtyku, każda tona, przewieziona przez polskie statki handlowe, powiększa znaczenie republiki polskiej w świecie. Ostatnia słowiańska straż pozostała nad Bałtykiem — a jest nią niezwyciężone polskie Pomorze, któremu my od Jadrańskiej straży ślemy swoje serdeczne pozdrowienia".

Zapewne, praca dra Esiha nie jest wyczerpująca, nie kusi się o głębsze ujęcie tematu, posiada nawet dziwne luki, niema w niej nawet wzmianki n. p. o obu wspaniałych powieściach *Sieroszewskiego* p. t. *„Beniowski"* i *„Ocean"*, lecz w każdym razie godna jest uwagi z naszej strony, jako szlachetny objaw propagowania naszego morza i literatury wśród naszych południowych pobratymców i to przez ich własnych rodaków, oraz zrozumienia przez nich, czem jest dla Polski, a pośrednio i dla całej Słowiańszczyzny, ten mały skrawek naszego brzegu morskiego.

Dr. W. Bazielich.

EDWIN HERBERT (Poznań).

Szaleństwo Jana.

Nowela nieco abstrakcyjna.

Mieszkanie jest trzypokojowe, z kuchnią. Właśnie: pracownia, jadalnia, sypialnia, no i kuchnia. Nie często zdarza nam się oglądać szczegółowo własne mieszkanie — i przechodzić z pokoju do pokoju — i zatrzymać się w kuchni, by spojrzeć na niezastawiony garnkami piec, by zajrzeć do szafy i westchnąć na widok ustawionych talerzy, filiżanek..., by przejść kuchnię — i zajrzeć nawet do śpiżarni. Ale się zdarza.

Jan czyni to, a nawet czyni to od pewnego czasu codziennie. Od pewnego czasu? Od czasu, gdy w trzypokojowem mieszkaniu zabrakło Anny.

Dziwny jest dzień bez niej; — dzień — jednostka czasu, który płynie nieubłaganie i coraz szerszem czyni koryto rzeki, oddzielającej dzisiejsze dziś od minionego wczoraj.

Dziwne jest trzypokojowe mieszkanie bez niej; mieszkanie, jednostka przestrzeni, która się niby nie zmienia, a jednak się zmienia. Trzy pokoje są coraz mniej słoneczne, a codzienne drogi coraz bardziej szare i nużące...

* * *

Wszystkie szczegóły schematu były już mniejwięcej wypełnione. Zabrakło jeszcze tego pytania, na które odpowiedź jest albo zdziwiona i obojętna, albo tak bolesna i tak bardzo niepotrzebna. Pytanie: „Czy kochałaś kogo przedemną?" I, oczywiście, pytania dalsze — drażliwe, nietaktowne, brutalne.

Pytanie to padło, gdy już przecież wszystko było nieodwołalne. A pada zawsze wtedy, gdy już wszystko jest nieowołalne. Gdy już wszystkie inne szczegóły schematu miłości są wypełnione i niepowrotne.

Wtedy był czerwiec, a miłość ich zaczęła się w marcu; miłość Anny i Jana. Czyż nie dość czasu było przedtem?

Był wtedy czerwiec. Szli drogą polną, każde w koleinie tego samego wozu, który minął ich i zniknął w tumanie kurzu. Z obu stron chwiały się szeleszcząc łany niedojrzałych zbóż, cierpko pachnące i spowite w białawym pyle... Mówili o czem innem. O czem innem, niż to. A jednak tego uniknąć się nie udało. Tego pytania.

Zapytał, w chwili, gdy rozmowa dotyczyła wartości sztuki stosowanej, zapytał: „Czy kochałaś kogo przedemną"?

I oto najprostsza odpowiedź Anny: „Nie"!

Czyż można wtedy jeszcze o coś pytać? Czyż można nie uwierzyć, gdy teraz jest czerwiec, jest słońce, są pola, łąki, lasy, jest miłość, gdy potężnem „nie"! oddalone zostały wszystkie lata, które zbliżały Annę do tego właśnie dnia, gdy pokochać miała Jana?

Nie pytał już o nic; lecz nie uwierzył. Któż zbadać zdoła tajemniczy mechanizm, który na słonecznej tarczy ogromnej radości, słusznie wynikającej z odpowiedzi Anny, stworzyć może maleńką czarną plamkę niewiary. Niewiara jego była od bezwzględnej wiary oddzielona tak nieznacznie, iż nie zauważył jej świadomie. Nie pytał już o nic i wznowił temat o sztuce stosowanej.

A dalsze miesiące zatarły tę drobniutką plamkę, tę granicę między wiarą i niewiarą, i odrzuciły w obojętność i niepamięć kwestję tych lat Anny, gdy nie istniała jeszcze w kole życia Jana. Gorąca miłość i reszta szczegółów w schemacie narzuciły mnóstwo innych problemów, równie drobnych, jak niewiara, która och! jak niepotrzebnie! urodziła się w ów słoneczny czerwcowy dzień.

Więc przyszły: nieznośne ceremonje ślubne, pierwsze obiady w trzypokojowem mieszkaniu, pierwsze kłopoty wspólne — i przyszły lata nieustannej, tajemniczej walki — dziwacznej walki, która zawsze się rodzi w miłości. Walki, która ma rozmaite postacie i rozmaite następstwa; ona wypełnia karty historji ludzkiej. Przyszły wszystkie te wypadki, które się przeciętnie zdarzają, i które nic innego nie czynią, prócz zabijania dni i lat.

* * *

Lecz nie o miłość tu idzie. Ani o Annę, ani o Jana. Idzie o cierpienie, godne pióra, godne życia.

Jan: — oto wynik najdalej posuniętej ascezy pisarskiej, wynik upartej chęci syntetyzowania, odrzucającej jedne po drugich wszystkie akcesorja. Zostało tylko imię — i, chociaż ono również jest obojętne, pozostać musi jako jedyna tama między abstrakcją i życiem, jako nazwa kompleksu, podlegającego wpływom — człowieka, podlegającego światu, którego jest albo twórcą, albo widzem, albo materjałem.

Jan był materjałem życia; świadomym może, lecz bezsilnym. Czyż można opanować siły swej duszy, jeśli one ją tworzą?

* * *

A więc przyszło także, w dwa lata po ślubie, przypomnienie owego pytania, i skądśchyba z piekieł! przywlekła się zrodzona, lecz zapomniana niewiara.

„Nie!" zamykało tajniki serca Anny. I oto podczas pewnej bezsennej nocy Jan zaczął cierpieć z miłości. Nie! nie z zazdrości o tamte chwile, o których nie wiedział; Jan nagle pomyślał z strasznym lękiem o tem, że może Anna cierpi, gdyż wtedy skłamała.

Rozważał rzecz starannie. Wybaczał kłamstwo z tą łatwością, na jaką nie byłby się zapewne zdobył wobec faktu. Lecz owa bezsenna moc wraz z niemiłemi myślami przeszła. Zdawało się, że niema powodu, aby owe nieznośne podejrzenie wróciło. Wbrew rozsądnym przewidywaniom jakieś tam skojarzenia po kilku tygodniach znów wyrzuciły nawierzch przypomnienie tego zagadnienia.

I tak raz po razie wracało. Męczyło go to bardzo. Jakże uwolni Annę od kłamstwa, gdy nieszczęsne „nie!" odcięło wszystkie możliwości?

Chciał jej ułatwić wyznanie. Zaczął ją badać, stawiał podstępne pytania, przyglądał się ukochanej twarzy na jawie i we śnie. Patrzył jej w oczy, gdy podawała mu obiad, gdy go żegnała i witała. Z każdym dniem rosła absurdalna, lecz rzeczywista troska.

Anna była zdziwiona jego zachowaniem się, potem zaniepokojona, wreszcie zaczęła się Jana bać. Nie dobrze jest, gdy kobieta boi się ukochanego mężczyzny. Lecz czy mogła zrozumieć tak niemożliwe do przeczucia szaleństwo?

Jan doszukiwał się oznak cierpienia u Anny, cierpiąc sam. I cierpienie to zamknęło go w samotności własnych odczuwań. Oczywiście, cierpienie to wybudowało między Janem i Anną mur nie do przebycia.

„O, jak męczy się, jeśli kłamała wówczas i ciągle, ciągle pamiętać musi o swojem kłamstwie!" — oto formułka Jana.

A Anna? Trudno jej było kochać z dniem każdym coraz bardziej obcego człowieka. Bo to przedziwne manjakalne cierpienie trwało i trwało, aż trwaniem swem wypełniać zaczęło czas, który winien był być przeznaczonym na miłość. I wreszcie mógł Jan odszukać w pobladłej twarzy Anny wyraźne ślady przeżywanych ciężkich godzin. Dziwny zaiste triumf!

A potem nie było już rady. Jan postanowił po długich zmaganiach się z sobą zadać Annie po raz drugi te same pytania, które oddzieliły ich w ów dzień czerwcowy tak niespostrzeżenie a tak skutecznie.

I znowu padła odpowiedź: „Nie!" — ku zdumieniu i nielogicznemu smutkowi Jana. Lecz dalszy ciąg odpowiedzi Anny był jeszcze bardziej niespodziewany, choć zupełnie logiczny: „Nie kochałam nikogo przed Tobą, — — — lecz oto teraz kogoś kocham po Tobie"...

* * *

Tak! Anna odeszła, odepchnięta niezrozumiałem szaleństwem Jana. Lecz wyleczyła ją. Czy świadomie? Jeśli tak, to — być może — powróci?

Smutny jest dzień bez niej. Puste mieszkanie trzypokojowe: Pracownia, gdzie nikt teraz nie rozrzuca niedbale najważniejszych papierów i nie przerywa śpiewem pracy. Jadalnia, gdzie trzeba siedzieć samemu przy obiedzie dostawionym z pobliskiej restauracji. Sypialnia, gdzie niema na poduszce drugiego łóżka zarysu ciemnej głowy i w ciszy nocnej nie słychać drogiego oddechu. No, jest jeszcze kuchnia z pustym piecem. Tak! tak! I jeszcze śpiżarnia, gdzie psują się jakieś zaprawy...

A może Anna zrozumiała Jana? A może wróci?

Dr MIECZYSŁAWA RUXERÓWNA (Poznań).

Famagosta, miasto-mumja

Dzieje miasta. — Mury i bramy. — Wnętrze miasta. — Kościoły i budowle gotyckie.

Kraków, 20 grudnia.

Stare to miasto. Egipscy *Ptolomeusze*, pod których rządami był *Cypr* od r. 321 przed Chr., tu niegdyś założyli miasto *Arsinoe*. — Z kolei w r. 58 przed Chr. przeszło w ręce rzymskie, a przy podziale państwa rzymskiego wraz z całym Cyprem w ręce *władców bizantyńskich*, wraz ze zmianą pana zmieniając i nazwę *(Ammochostos)*. Czasy świetności największej miasta a zarazem etap ostatni jego istnienia to lata 1196—1571 r. *Ryszard Lwie Serce* oddał Cypr *hr. de Lusignan*, którego brat i następca przyjmuje w r. 1196 tytuł *króla Cypru*, rozpoczynając okres świetności Cypru, a z nim i miasta, teraz *Famagouste* przez Francuzów nazwanego, co potem Włosi na *Famagosta przerobili*. Miasto jest głównym *portem wojennym i handlowym* królów cypryjskich. Tu zawijają pielgrzymi, dążący do Ziemi świętej lub z niej wracający. Tu mają swe *kościoły wszystkie wcześniejsze na Wschodzie wyznania chrześcijańskie*, a więc prócz kościoła rzymskiego i greckiego także Nestorjanie, Maronici, Syryjczycy, Armeńczycy. Ludność Famagosty dochodzi 70.000, bogactwa mieszkańców stają się przysłowiowe. W r. 1373 miasto przechodzi w ręce *Genueńczyków*, którym odbija je w r. 1463 ostatni król Cypru, *Jakób II*, lecz już w kilka lat po jego śmierci, bo w r. 1489, królowa wdowa, *Katarzyna Cornaro*, odstępuje wyspę republice weneckiej. Rok 1571 kładzie kres istnieniu Famagosty — po trzynastomiesięcznem oblężeniu, po 75 dniach bombardowania zdobywają ją *Turcy*. Turcy gwałcą warunki kapitulacji: gubernator miasta, Bagradnio, ginie w męczarniach, ludność wymordowana lub uprowadzona w niewolę, miasto w ruinie, z której już się nie podniosło — miasto-trup, może raczej *miasto-mumja* W r. 1878 przechodzi wraz z Cyprem pod okupację *angielską*.

Potężne, doskonale zachowane, żółtawe *mury*, w całości niemal z czasów weneckich pochodzące, zakreślają nieregularny czworobok o obwodzie 3200 m. Na narożnikach potężne *bastjony*, wzdłuż murów, w odstępach 100—150 m., półkrągłe *wieże*, przed murami *fosy* 40—50 m. szerokości, niekiedy cięte w żywej skale. Szczególnie potężny jest bastjon Martinengo w narożniku północno-zachodnim, pochodzący jeszcze z czasów przedweneckich oraz południowo zachodni bastjon limassolski na straży *limassolskiej bramy*, panującej nad drogą, wiodącą w głąb kraju. Dwie tylko bramy posiadała Famagosta. *Brama morska* — od strony morza — w krągłej wieży, ma ponad wejściem iwa św. Marka i napis Mikołaja Priolo, gubernatora weneckiego z r. 1496. Na prawo od bramy potężna *cytadela* wenecka, przylegająca do muru północnego, flankowana wieżami i otoczona głęboką fosą. Stąd, z małej północno-wschodniej wieży panowano nad wejściem do portu. Wewnątrz cytadeli znajdują się potężne sklepione budowle, pozostałość z dawnego *zamku królów cypryjskich*, wzniesionego w latach 1300—1310.

Wnętrze miasta — cała część północno-zachodnia i południowo-wschodnia to pustka, to *pastwiska*, gdzie rosną grupami *palmy*, białemi wstęgami wiją się drogi, pasą się trzody — a tu i ówdzie wśród pustki wyrastają przepiękne *kościoły gotyckie*. Niewielka ilość domów nowszych, jakie w ostatnich latach pobudowano, skupia się głównie w dawnych dzielnicach de la Zecca i „greckiej" oraz w centrum miasta w pobliżu pałacu. Domy przeważnie niskie, parterowe, zbudowane są z białawych kamieni, z grubsza ociosanych, pomiędzy które w szpary powtykano mniejsze kamyki. Z tych samych cypryjskich wapieni i piaskowców wzniesione są także *kościoły i pałac*, co przyczynia się do ich powolnej a nieustannej ruiny, ponieważ materjał ten na deszczu i wietrze łatwo ulega zniszczeniu.

Z kościołów gotyckich najlepiej zachowała się *katedra św. Mikołaja*, kryta, jak zresztą wszystkie kościoły cypryjskie, *dachami terasowemi*. Budowla ta — wspaniały okaz *gotyku francuskiego* z pierwszej połowy XIV w. — służy dziś jako *meczet*; w związku z tem przeznaczeniem wzniesiono z boku smukły *minaret*. Wnętrze katedry bielone, co psuje wrażenie, w oknach typowe okrągłe szybki mahometańskie, w posadzce tu i ówdzie nawpół zatarte dawne *płyty grobowe*.

Na prawo od katedry leżą ruiny *„św. Jerzego lacinników"*, najstarszej gotyckiej budowli Famagosty. Od *„bramy morskiej"* obok katedry wiodła główna ulica miasta na rynek, przy którym leżał *pałac królewski* (z XIII w.), zmieniony przez Wenecjan *w pałac gubernatora*. Zachował się *portyk wenecki* o trzech arkadach, za nim resztki gotyckiej *fasady*, oraz — z boku — gotycka fontanna. W podwórzu, ułożone w stosy, leżą kule armatnie z czasów oblężenia w r. 1571. Z pałacu pozostały nieznaczne resztki, w których dziś mieszczą się: odwach, więzienie (dawna kaplica) i stajnia. W pobliżu mieści się kilka znaczniejszych budowli gotyckich: na południe od pałacu *kościół św. Piotra i św. Pawła*, wzniesiony w połowie XIV w., na północ ruiny kościoła *św. Franciszka i klasztoru Franciszkanów*, a jeszcze dalej ku północy dwie bliźniaczo podobne kaplice: *Templarjuszy i Joannitów*.

W tej części miasta trochę domów nowszych, podobnie jak w dzielnicy de la Zecca i „greckiej". Cała zachodnio-północna część miasta to pastwisko z ruinami kościołów. Tu leżą: kościół *Nestorjanów* (ok. 1560 r.) z resztkami malowideł, *św. Anna* (kościół Maronitów z XIV w.), mały, niezidentyfikowany *kościół z XV w.*, w którym dziś idyllicznie mieszka jakaś cypryjska rodzina, piękny gotycki *kościół N. Panny z góry Karmelu* z resztkami malowideł włoskich z XIV i XV w. oraz w północno-wschodnim narożniku miasta *kościół armeński* (połowa XIV w.) z malowidłami bizantyńskiemi.

W dawnej dzielnicy de la Zecca stoją *dwa gotyckie kościoły*, w dawnej *„greckiej"*, oprócz *dwu gotyckich*, resztki katedry *„św. Jerzy grecki"* z końca XIV w. i trzy mniejsze *bizantyńskie budowle* (kościół i dwie kaplice).

Część południowo-wschodnia, dawna dzielnica arsenału, to znów pustka, ożywiona tylko ruinami *kościoła św. Antoniego, szpitala św. Antoniego*, gotyckiej *kaplicy* i niezidentyfikowanej gotyckiej budowli.

Dziwnie bolesne ogarnia uczucie, kiedy się błądzi wśród ruin Famagosty. Oto stoją na zagładę skazane te cudne kwiaty naszej zachodniej architektury, stoją jak symbol naszej łacińskiej daremnie na te tereny przeszczepionej kultury, stoją bardziej jeszcze samotne niechętnym do nich tosunkiem społeczeństwa cypryjskiego. Cypr od niepamiętnych czasów przepajany elementami wschodniemi, wychowany pod tchnieniem bizantynizmu, uparcie chowający dawne tradycje, również uparcie przechował *niechęć do obcych*, do dalekich mu wiarą, niechęć do „barbarzyńców z Zachodu" tę samą, która niegdyś dzieliła łaciński Zachód i grecki Wschód, która niemało przyczyniła się do upadku Bizancjum.

Jest jakaś przepaść głęboka między *„duszą łacińską"*, t. zn. duszą nas wszystkich, którzyśmy w jakikolwiek sposób kulturę brali z Rzymu, a *„duszą grecką"*, wychowaną pod tchnieniem kultury bizantyńskiej.

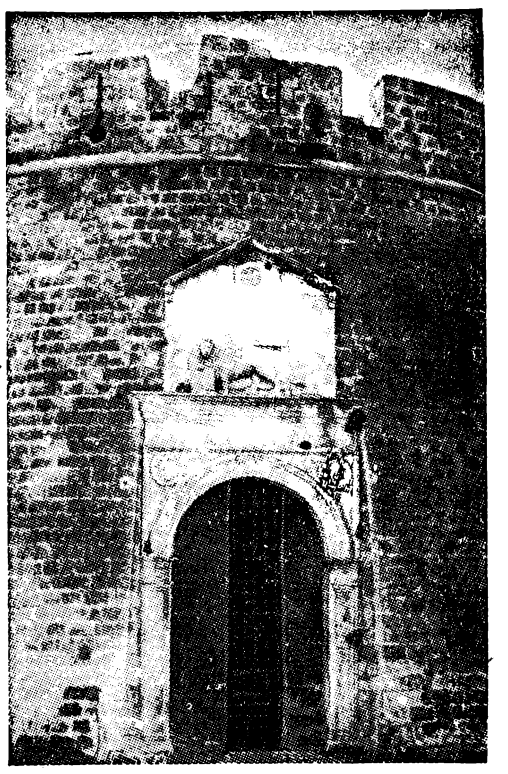

Brama morska w Famagoście, na Cyprze.

Ogólny widok środkowej części miasta Famagosty na Cyprze.

Ruiny kościoła Maronitów (na prawo), ruiny kościoła N. Panny z góry Karmelu (na lewo), w głębi, na lewo bastjon Martinengo w Famagoście, na Cyprze.

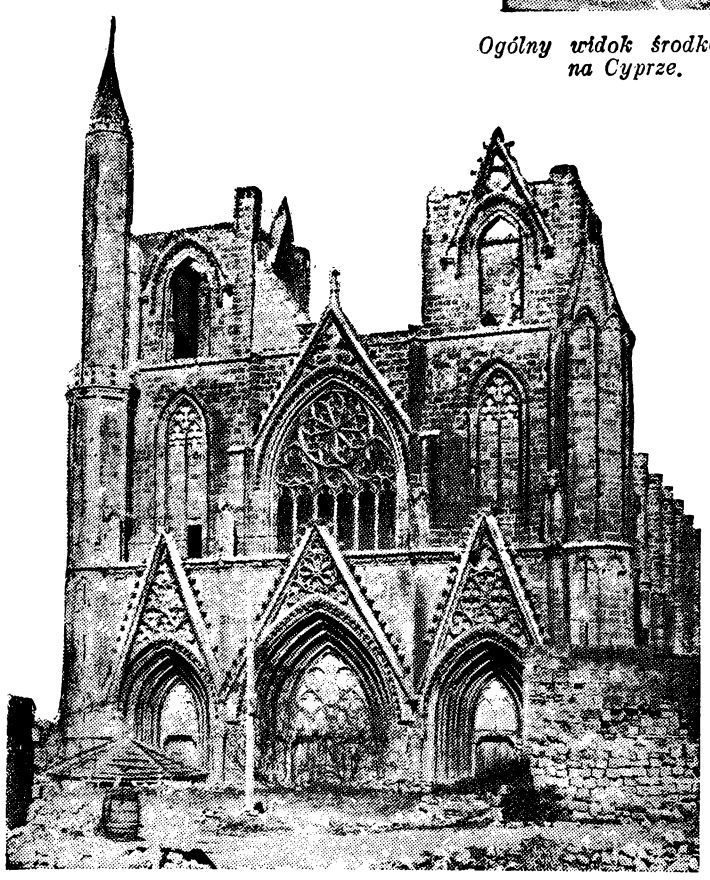

Fasada kościoła gotyckiego św. Mikołaja w Famagoście, na Cyprze.

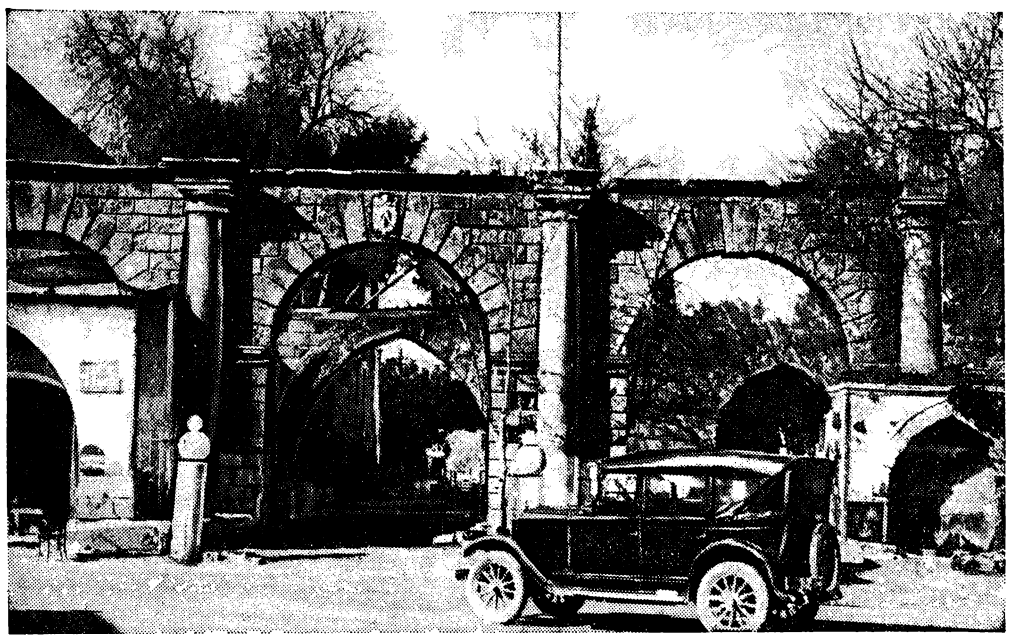

Wenecki portyk pałacu gubernatora (XVI w.) w Famagoście, na Cyprze. W głębi widać fasadę gotyckiej budowli, na prawo fontannę gotycką.

Przysłowia.

Motto:

Nie miem, czy jaki pomnik może być równego znaczenia, większej wagi i płodniejszy we wnioski — nad zbiór przysłów.

J. I. Kraszewski.

Fora Adamie, fora! z tak rozkosznego dwora.

Pierwszy raz spotykamy to wyrażenie w kantyczkach z 1630 r. p. t.: *„Symfonje anielskie"*. Jako przysłowie przyjęło się od czasu, kiedy w 1790 r. dłużnicy zajęli pałac podskarbiego w. k. Adama Ponińskiego.

* * *

Gut, bon, Saglas London, de kowal de Bałabanówka.

Przysłowie to datuje się od jakiegoś *Biemachera z Bałabanówki*, który takim napisem zrobioną przez siebie strzelbę przyozdobił. (Biemacher, prawdopodobnie z niem. Büchsenmacher). Wzmiankę o tym przysłowiu spotykamy w *„Panu Tadeuszu"* w ks. IV-ej:

„Tęga strzelba, prawdziwa to Sagalasówka,
Napis: Sagalas London a Bałabanówka.
(Sławny tam mieszkał ślusarz, Polak, który robił Polskie strzelby, ale je po angielsku zdobił)".

Przysłowie to używa się żartobliwie o tych lichych wyrobach broni, które są znaczone jako angielskie.

* * *

Nawet Turczyn Aksakówny nie ima.

Antonina J. (achowiczowa) w *„Opowieściach historycznych"* na temat powstania tego przysłowia pisze: „Po zdobyciu Kamieńca przez Turków (1672 r.), gdy wojsko rzuciło się na kobiety, wybierając szczególnie młodsze i piękniejsze, Gertruda, córka Axaka, panna leciwa, lecz płocha, chcąc uchodzić za młodszą szaty szkarłatne z wdziękiem układa niemałym i szpetną twarz okrywa zasłoną, sromając się niby oka ludzkiego. Rabusie muzułmańscy w liczbie innych kobiet, porwali także Gertrudę. Bez rozpaczy i molestacji w jasyr szła zalotnica, aliści na drugi dzień, jak niepyszna, powraca do miasta, wymyślając na bisurmanów, którzy nawet poszturchali ją za to, że ich strojem swym okłamała. A jakiś wesoły mieszczanin, bo na takich w najsmutniejsze godziny nie zbywa, między ludzi puścił gadkę, którą długo powtarzano niby przysłowie" (j. w.).

* * *

Adam nie był szlachcicem, bo o nim śpiewają w „Bogurodzicy": „Adamie, ty Boży kmieciu!"

Autorem powyższego wyrzeczenia jest *Piotr Smolik*, głośny swego czasu z dowcipu dwo-

rzanin królów *Stefana Batorego* i *Zygmunta III* (zm. 1637 r.), dał on początek i kilku innym przysłowiom polskim. („Starożytności historyczne" Grabowskiego Ambrożego).

* * *

Co Anglik zmyśli, Francuz skreśli, a Niemiec doma nakrupi, wszystko to głupi Polak kupi.

Bez komentarzy! *L. Sk.*

Dr WŁADYSŁAW BOGATYŃSKI.

Najmniejszy z Jagiellonów.

Rocznica zgonu i odkrycie grobowca Aleksandra Jagiellończyka. Badania naukowe tej postaci historycznej. — Czasy Olbrachta i Aleksandra. Cienie i światła w osobistości Aleksandra.

Kraków, 20 grudnia.

Dnia 20 sierpnia br. upłynęło 425 lat od zgonu króla *Aleksandra Jagiellończyka.* Równocześnie niemal odkryto w podziemiach katedry wileńskiej jego zwłoki. I to ostatnie wydarzenie zwróciło uwagę na rocznicę, a przedewszystkiem na tę postać historyczną.

Aleksander do niedawna nie był naukowo opracowany. Panowanie jego *na Litwie* (1492—1506) *i w Polsce* (1501—1506) znane było na podstawie przyczynków, pomieszczonych w opracowaniach wypadków i postaci dziejowych, związanych z *Aleksandrem.* Praca bowiem *Fr. Czernego: Panowanie Jana Olbrachta i Aleksandra (Kraków 1871)* nie przyniosła nic nowego, ważne zaś dzieła *Bobrzyńskiego (Sejmy za Olbrachta i Aleksandra), Bostela (Elekcja Aleksandra), J. Rutkowskiego (Skarbowość za Aleksandra)* nie wyczerpały problemów, by można było oświetlić całość panowania *Aleksandra.* Dopiero wydanie *Aktów Aleksandra* i opracowanie ich przez *dyr. Fryd. Papeego (Historja Polityczna Polski cz. I, r. 1920, wyd. Pol. Akad. Um.)* posunęło naprzód znajomość tego okresu dziejów naszych i dało pierwszą naukową syntezę panowania *Aleksandra.* Dalsze opracowania dali *prof. J. Dąbrowski (Dzieje Polski średniowiecznej) i prof. O. Halecki (Dzieje Polski pod panowaniem Jagiellonów w zbiorowem oprac.: Polska, jej dzieje i kultura).*

Czasy *Aleksandra* i jego brata, poprzednika na tronie polskim, *Jana Olbrachta* są niezmiernie ważne, bo stanowią przełom dwu epok. Dość przecież wspomnieć o procesie społeczno-politycznym, który zaczęty za *Kazimierza Jagiellończyka* trwał za obu jego synów i w rezultacie zamiast przetworzyć *Polskę* w państwo nowożytne *rzucił podwaliny pod demokratyczną Rzeczpospolitą szlachecką z królem na czele o ustroju parlamentarnym,* co oznaczała konstytucja *„Nihil novi"* z roku 1505. Albo w polityce zagranicznej, jakże doniosłą jest *kwestja czarnomorska,* pozostawiona przez *Kazimierza Jagiellończyka* następcom, skupiająca *Krym, Wołoszę, Turcję i Moskwę* przeciw *Polsce i Litwie.* Niepowodzenie wypraw *Olbrachta na Turków, Aleksandra na Krym* wskutek machinacyj *Wołoszy i Moskwy udaremniło Polsce ubezpieczenie dostępu do morza Czarnego, a na Litwę sprowadziło* wskutek ujawnienia jej słabości, *atak Moskwy,* a w następstwie cofanie się państwowości litewskiej z ziem ruskich. Za to niepomyślny wynik wypraw czarnomorskich wpłynął na sformułowanie wewnętrznego stosunku prawno-państwowego *Polski i Litwy* do siebie, najpierw w formie ścisłego sojuszu w r. 1499, potem wznowienia unji personalnej (1501). Ten związek obu państw miał szczególniejsze znaczenie dla *Litwy* wobec agresywności *Moskwy,* której jednak nie przeszkodził zdobyć na *Litwie* dorzecza *Desny* (1503).

Ujemne naogół wyniki zarówno w przebudowie państwa, jak i w polityce zagranicznej rzucają także światło na osobistość *Aleksandra.* Na usprawiedliwienie jego należy podnieść brak warunków osobistych do spełnienia tak ważnych zadań, zwłaszcza wobec niepomyślnych warunków wewnątrz i zewnątrz krajów, nad któremi panował.

Był z sześciu synów *Kazimierza Jagiellończyka* najmniej uposażonym przez naturę. W przeciwieństwie do starszego brata, *Jana Olbrachta,* nie pociągał ku sobie, ani powierzchownością, ani obyczajami, ani umysłowością swoją. Był średniego wzrostu, o podłużnej twarzy, ocienionej długiemi włosami ciemnemi, silnej budowy ciała. Z usposobienia milczący i spokojny, chwiejny, pod względem umysłowym był najmniej inteligentnym i wykształconym z braci. Mimo edukacji *Długosza i Kallimacha* pisał *„jakąś chłopską, ruską, łaciną". Pierwszy jednak* z naszych królów *kładł swój podpis na aktach.* Chociaż Krakowianin, nie ciągnął do *Polski i Krakowa,* do którego jako król cztery razy zawitał, najpierw na koronację, której dopełnił brat królewski, kardynał *Fryderyk,* upamiętnioną minjaturami *w Pontyfikale Erazma Ciołka,* potem drugi raz i trzeci w r. 1503 i 1504; czwarty raz i ostatni przybył w r. 1505 z sejmu radomskiego, głośnego z przełomowej ustawy *„Nihil novi",* fundamentu parlamentaryzmu polskiego; leczył się wtedy *w Krakowie,* ponieważ był *paralitykiem.* Wzajemnie i *Polacy* nie lgnęli do króla mimo szczodrobliwości, posuniętej do *rozrzutności.* Czuł się jakoś swojsko *w Wilnie,* tam też najwięcej przebywał, tam życia dokonał i po śmierci pozostał. *„Ruskie dążności i sympatje oddzieliły go w następstwie od tchnień i natchnień zachodniej cywilizacji"...* Nawet w rozrywce brak u niego urozmaicenia, jedyną niemal stanowiła *muzyka.*

Nie podobna jednak odmówić *Aleksandrowi* pewnych zalet, pośród których *sumienność i wytrwałość oraz uczciwość* były przeciwwagą tamtym brakom umysłu i charakteru, a jeśli ich nie równoważyły, to w każdym razie każą obok niepowodzeń, których winę w znacznej części także ponoszą jego możnowładczy przeciwnicy, policzyć na dobro króla pomyślne wydarzenia, których on i przez niego *trafnie dobrani doradcy* byli sprawcami. Ostatnią zaś jego zasługą były zabiegi, celem zapewnienia bratu *Zygmuntowi* następstwa po sobie.

Król Aleksander na tronie przyjmuje kanclerza Łaskiego. Drzeworyt z 1506 r.

RUDOLF WACEK (Lwów).

Zając i polowanie na niego.

Jak to dawniej polowano. — Na zasiadce i na deptaka. — Z psami. Z chartami i na podjazdkę. — Ławą. — Polowanie gremjalne.

Kraków, 20 grudnia.

Dawniej, gdy tylko *oszczep* i *kusza* były w użyciu, gdy znano *sokoły* i *charty, zając* był w pogardzie. Uganiali za nim z chartami młodzi panicze, polowali na niego dworscy słudzy lub płatne ciury. I rację miał poeta, który pisał:

„Siedzi zając pod miedzą
Myśliwi o nim nie wiedzą".

Zmieniły się czasy. Dziś niema już miedzy, pod którą schowałby się zając — jak i niema strzelby, którą według Wojskiego „shańbiono, sypiąc w nią śrót cienki". Zmienili się i myśliwi, z których i najwybitniejsi strzelają do zajączka *śrótem* — zmieniły i rozszerzyły *sposoby polowania na szaraka.*

O tych sposobach pragnę kilka słów powiedzieć.

Wszystkie prawie sposoby polowania na zające podaje nam znany pisarz łowiecki *Wiktor Stephan* w swej broszurze p. t. *„Zając pospolity" — 1905 r.*

Polujemy więc: *na zasiadce, na deptaka, z wyżłem, z psami gończemi, z chartami, na podjazdkę, wreszcie z naganką w lesie i w polu.*

Dwa sposoby polowania na zające są obecnie w opinji myśliwych bardzo ujemnie są-

EUGENJUSZ LAND (Częstochowa)

Zapomniane piśmiennictwo.

Najbardziej zaniedbaną dziedziną w historji naszej literatury jest niewątpliwie piśmiennictwo *ascetyczno-dewocyjne* XVII i XVIII w. W ostatnim czasie podniósł to mimochodem po raz pierwszy prof. *Pollak* w *„Pamiętniku literackim".* Patrzymy ciągle na tę literaturę okiem wrogiego jej *wieku oświecenia,* zapominając, że w ataku pisarzy stanisławowskich, jak w każdej reakcji, było sporo *przesady i stronniczości.* O ile zerwiemy z nienaukowemi uprzedzeniami i przyjrzymy się temu piśmiennictwu z pewnych niezauważonych, zdaje się, dotąd punktów widzenia, to przedstawi się ono bardziej interesująco, niż to się dotychczas wydawało.

Okres to, jak wiadomo, rozkwitu i królowania *katolicyzmu* w całej Europie. *Polska* nie spóźniła się tym razem pod względem *politycznym,* ale opóźniła się, jeżeli idzie o rozwój *umysłowo-kulturalny.* Kiedy w XVII w. we *Francji* np. *św. Franciszek Salezy* występuje już przeciwko *wybujałościom ascetyzmu,* u nas zaczyna on na dobre dopiero panować.

Mamy błędne wyobrażenia, że niczego się prawie wtedy nie drukuje i nie czyta w Polsce. *Religijna literatura* ówczesna chciała się stać strawą dla tłumów i stała się nią od XVII w. poprzez czasy saskie, aż do końca wieku XVIII. Trzeba było stworzyć *codzienny* pokarm duchowy o poziomie, któryby nie przewyższył wymagań artystycznych uczestników częstych pielgrzymek, procesyj i nabożeństw. Może nie wskutek upadku sztuki drukarskiej, ale dlatego, by obniżyć koszta wydawnictwa brał autor-edytor liche czcionki, tanich robotników i najmarniejszy papier. Nie dziwmy się więc niskiej stronie *artystycznej i graficznej* tego piśmiennictwa. Miał to być przecież artykuł masowy, jarmarczny i odpustowy. I oto stanął przed kierownikami intelektualnemi tych czasów problem: *co i jak pisać* w dziedzinie religijnej, by trafić pod strzechy, jakby powiedział romantyk, by wyjść na ulicę, jak się mówi dzisiaj.

W jednej gałęzi twórczość religijna zdobyła sobie z łatwością popularność, a mianowicie w spóźnionych u nas o tyle lat *widowiskach.* Ale to było *słowo mówione.* Przeciwko temu słowu, które również pretendowało do rządu dusz, słowo pisane występowało z rozmaitych względów i dokazało swego: te pierwociny dramatu polskiego zostały *zakazane* przez władze duchowne.

Cięższy bój przyszło stoczyć z rywalką, walczącą tem samem narzędziem, t. j. *drukiem.* Kupujący miał przecież do wyboru w tym samym kramie czy straganie *„przy Hipolicie Głos synogarlicy",* jak mówi *Krasicki,* czyli przy fascynujących romansach *„gościńce cnoty"* lub też przy pożytecznych, encyklopedycznych kalendarzach *„zegarki miłości bożej".* Kiedyż najnabożniejszy nawet szlachcic, a zwłaszcza szlachcianka kupi *exhorty postne,* jeżeli może nabyć *historję o Magielonie* lub *zbór prognostyków* na cały okrąglutki rok? Wtedy, jeżeli okaże się, że exhorty i t. p. dzieła są równie interesujące, jak powieści lub też jeżeli się przekona czytelnika, że korzyści, płynące z pobożnych czytanek są nie mniejsze od tych, które się zawdzięcza kalendarzom.

Więc już w przedmowie czy dedykacji autor wychwalał nakładcę lub mecenasa za ten świetny uczynek, jakim jest wydanie tego dzieła. A potem na każdej stronie wpajał przekonanie, że nabożne rozmyślania najdoskonalej utrzymują nabywcę w moralności, najlepiej zmażą jego grzechy oraz zapewnią mu powodzenie w tem życiu i zbawienie w przyszłem. W sposób intymny zwracał się wprost do grzesznika, niemal zawsze tykając go. Dla osiągnięcia lepszego efektu wprowadzał specyficzną poufałość, prośbą i groźbą przygotował właściwe przyjęcie dla swych grubych często foljałów. — Takich korzyści nie dawała literatura świecka, a raczej wprost przeciwnie: łatwo było udowodnić, że dusza ponosi przez nią *uszczerbek.* Dziwnem nawet musi się wydawać, że nie wszystkie płody ówczesnych *Mniszkówien i Staśków* zostały wpisane na *indeks ksiąg niedozwolonych.* Powinni się o to byli postarać autorzy i wydawcy broszur i dzieł pobożnych, chociażby dla własnego interesu.

Bo trudno zaiste było walczyć z tym drugim elementem literatury świeckiej, z fantastyką, zaciekawiającą ogół. By zdobyć popularność, była tylko jedna droga: iść śladem konkurencyjnej twórczości i przeciwko podniecającym ciekawość *„gabinetom osobliwości",* prezentowanym przez romanse, otworzyć własne kolekcje sensacyjnych curiosów. I otworzono je nietylko w moralizatorskich romansach z życia świętych i nieświętych, ale i w ściśle ascetycznych dociekaniach: *akademjach pobożności, głosach do nieba, pistoletach do zabicia grzechów etc.* Stało się to dla tych samych powodów, dla jakich poważne *moralitety* przerywano uciesznemi *intermedjami.* Poruszono wszystkie sprężyny znane barokowi, nie do użycia przecież w naszych czasach przy tematach religijnych. Intrygowano czytelnika wyssanemi z palca, bo nawet nie, jak w średniowieczu, z apokryfów dodatkami; *motywy romansowe* adoptowano bez wahania nietylko w *hagjografji* (żywoty świętych), lecz i w *deografji* (żywoty Pana Jezusa, Matki Boskiej).

By lektura mogła osiągnąć obydwa cele: *utylitarny i rozrywkowy,* opierano się mniej na własnych siłach twórczych, więcej na analogicznem piśmiennictwie Zachodu i to tylko na wielkich pisarzach, jak *Ludwik z Granady* lub św. *Teresa,* lecz również i to przeważnie na ptakach *niskiego lotu,* których nazwiska nic nam dzisiaj nie mówią. Podstawy ściśle dewocyjnych szukano w księgach, które spisali *Androcy, Fontaine, Hugo Herman, Jan a Jesu Maria, Magni, Pinneli, Pontanus* i wielu innych, stronę zaś fantastyczno-sensacyjną opierano w braku innych źródeł na *pseudo-mistycznych „objawieniach"* w rodzaju reprezentowanym przez interesującą zakonnicę hiszpańską, *Marję d'Agreda.*

Słusznie dopomina się prof. *Pollak o zbadanie stosunków* w tej dziedzinie, szczególnie z *Hiszpanją,* o czem nie pamiętają nawet nasi znakomici znawcy półwyspu pirenejskiego.

Ciekawą rzeczą byłoby też zbadanie *filjacji* ascetyzmu zachodnio-europejskiego za pośrednictwem *Polski* na *Wschód,* na co są dowody, z drugiej zaś strony nie trzeba też zapominać, że były (wyjątkowe wprawdzie) dzieła oryginalne pisarzy *polskich,* które *tłomaczono* czy wydawano zagranicą.

Twórcami tego piśmiennictwa jest *mieszczaństwo i szlachta,* ludzie duchowni i świeccy. Ci ostatni byli obznajmieni z całą — można powiedzieć — techniką ascetyczną tak dobrze, że nie odkryje dziś nawet specjalista różnicy między tekstami pisarza świeckiego i duchownego. W szeregach tych nie brak ani dyplomatów, ani hetmanów ani nawet królów: *Stanisław Leszczyński* wprawdzie już tylko jako władca *Lotaryngji* zdobył się na ogromne i okropne tłomaczenie wierszem *historji świętej,* co zresztą, jak się okazuje, nie przeszkodziło wcale wolnomyślnym jego poglądom.

Tak więc poza znikomością walorów czysto estetycznych odstręcza badaczy *obfitość* tej literatury. Wszystkie działy poezji i prozy, olbrzymia publicystyka wymagają przejrzenia i dlatego praca nad tem piśmiennictwem wymaga niepospolitej cierpliwości, na którą trudno się zdobyć, ale zdobyć się trzeba.

Zakładanie w czasie polowania polnego t. zw. kociołka. Obrazek z polowań Lwowskiego Klubu Myśliwych „Ponowa".

Myśliwi na punkcie zbornym przed polowaniem.

dzone, a to *zasiadka i deptak*. Nasza nowa ustawa łowiecka wobec tych sposobów zajmuje również jasne i nieprzychylne stanowisko.

Jak przeciwny jestem polowaniu *na deptaka*, którego ofiarą w październiku i listopadzie padają głównie *samice* — twardo w ciepłe dni dosiadujące, tak *zasiadce* przypisywałbym nawet pewne zalety. Na zasiadce myśliwy widzi, co w lesie ma: zamiast zająca, często może strzelić szkodnika-lisa, kunę lub jastrzębia, a wreszcie i kłusownik nieraz zdąża do tego samego krzaczka, w którym siedzi już prawowity właściciel.

Na zająca polujemy też z *gończemi psami*, a jak je dawniej w Polsce zwano *ogarami*. Gdy jednak gończym psem może być i wiejski Burek, ogar może pochodzić tylko ze specjalnej rasy, dziś już na wymarciu. Gończe psy wyszukują zająca i gonią go tak długo, dopóki myśliwy, podbiegający na głos gonu, nie przyjdzie do strzału. Trzeba się też dobrze orjentować, gdzie zającowi czy też lisowi przeciąć drogę, by długim gonem psów nie męczyć. Jest to polowanie specjalnie górskie.

Do polowań na zające z psami należy również polowanie *z chartami* albo *konno*, albo *na saniach*. Zwłaszcza konno jest to polowanie wysoce sportowe, gdzie o dobrym wyniku decydują nietylko siła i rączy bieg chartów, lecz i dobry moment puszczenia ich ze smyczy i umiejętność jazdy konnej. Polowania takie znamy już tylko z opisów, z ilustracji, z *„Pana Tadeusza"*, w którym *„Kusy"* i *„Sokół"*, dwa rywalizujące ze sobą charty Rejenta i Asesora, wracają bez zająca:

...„zwolna skacząc przez zagony,
Spuściły uszy, tulą do brzucha ogony,
I przybiegłszy, ze wstydu nie śmieją wznieść (oczu
I zamiast iść do panów, stały na uboczu."

W polu polujemy również *„ławą"* czyli t. zw. *„sztrajfem"*. Jest to jednak zwykły *deptak*, gorszy przez to, iż tempo takiej ławie narzucają zwykle młodzi szybkobiegacze. Ława taka powinna mieć daleko wysunięte skrzydła, obsadzone również przez myśliwych i tu właśnie łowczy powinien wysyłać takich szybkobiegaczy, którzyby szli w zawody z wymykającym się szarakiem.

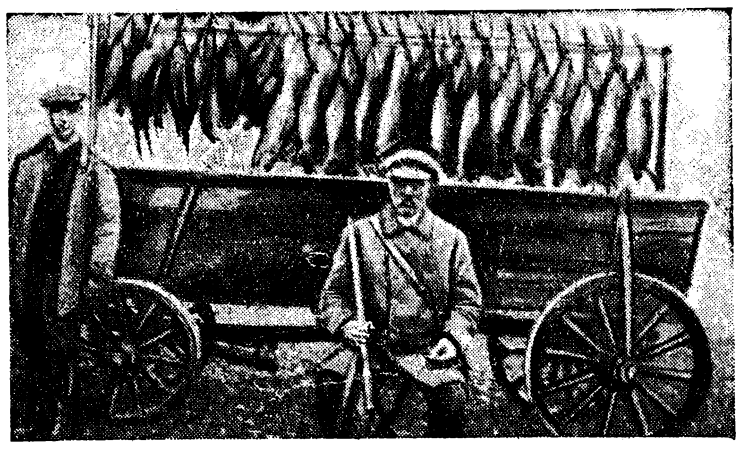

Bażanty i zające na rozkładzie.

Po skończonym miocie nagonka wychodzi na linję myśliwych.

W wyżej przytoczonych sposobach polowań na zające wystarczył *jeden myśliwy;* — pozostały nam *polowania gremjalne* z naganką, inaczej prowadzone w lesie, inaczej w poprzeciwne skrzydła zataczają dwa półkola i gdy się spotkają, koło jest zamknięte. Wówlu. W *lesie* myśliwi zajmują jedną stronę części, przeznaczonej do polowania t. z. miotu, z drugiej z krzykiem, gwizdem, z kołatkami, posuwa się równo naganka i pędzi zwierzynę na myśliwych. Na skrzydłach stoją również myśliwi, którzy mają stanowiska albo *stałe*, albo *ruchome*. Taki sam rodzaj polowania można zastosować *w polu*, na którem jednak urządza się zwykle *koła* czyli t. zw. *kociołki*. Z danego punktu rozchodzą się myśliwi w dwie przeciwne strony, poprzedzielani co kilkadziesiąt kroków naganiaczami; dwa te czas wszyscy zaczynają iść promieniami do środka koła, strzelając do zajęcy, które się starają z takiego koła wydostać.

Śniadanie myśliwskie w polu. I o nagonce nie zapomina się. Obrazek z polowań Lwowskiego Klubu Myśliwych „Ponowa".

Śniadanie myśliwskie, podczas którego łowczy odczytuje wyniki polowania. Obrazek z polowań Lwowskiego Klubu Myśliwych „Ponowa".

Z zagadnień współczesnej reżyserji.

Jak naturalizm zdobywał scenę?

Pamiętniki Antoine'a. — Teatr urzędników gazowni. — Aktorzy i autorzy „Teatru wolnego". — Technika nauralistyczna — „Comedie rosse". Zapolska. — Pawlikowski. — Berlińska „Wolna scena". — Brahm i Hauptmann. — Pierwsze kroki Reinhardta.

Kraków, 20 grudnia.

Ojcem stylu naturalistycznego w teatrze jest André *Antoine*, odnowiciel sceny francuskiej, dziś starzec z górą 70-letni, którego losy dzień po dniu teraz śledzić możemy dzięki jego niedawno ogłoszonym *„Pamiętnikom"* (*„Mes Souvenirs sur le Theatre libre"* u Fayard'a i *„Mes Souvenirs sur l'Odeon"* u Grasset'a).

Było to w latach ośmdziesiątych ubiegłego stulecia, gdy wyrocznią nietylko dla Francji, ale także dla Europy, była *„Komedja Francuska"*, *„Theatre Français"*. Tu w nieprzerwanej tradycji, trwającej od dwustu lat, bo od czasów *Moliera*, pielęgnowano styl *majestatycznych gestów i tonacyj uroczystych*, tu krążyły, niby w odświętnym zodjaku, *gwiazdy* pierwszej wielkości, z których niejedna, jak kometa ognista, przebiegała Europę: głodna reklamy i sensacji *Sara Bernhardt*, lew tragedji *Mounet-Sully*, mistrz komedji starszy *Coquelin*.

A jednak teatr ten nosił w sobie *zarodki śmierci*. Brak mu było tego, co jes jedynie duszą teatru i jego racją wobec współczesności: *repertuaru*. Grano autorów wczorajszych. Właśnie wrócił po roku 1870 z banicji *Wiktor Hugo*, a z nim powrotna fala szumnych, dumnych i pustych Hernani'ch. — A obok epigonów romantyki wszechwładna trójka: *Dumas, Augier i Sardou*, sztuka *konwersacyjna*, z której dawno już wywietrzała wszelka krytyka etyczna czy socjalna, zostawiając tylko pogoń za efektem i kasą. Daremnie walił *Zola* w tę twierdzę konserwatyzmu blokami swego cyklu *Rougon-Mackart:* wszechwładny w Paryżu recenzent, wujaszek *Sarcey*, bronił mu wstępu do teatru, wypędzając stamtąd równocześnie *Ibsena, Tołstoja* i autora „Paryżanki" Henri *Becque'a*. „Stara generacja była wyczerpana, ale trzymała się przy władzy zdecydowaną solidarnością. My młodzi staliśmy naprzeciw bezbronni i gryźliśmy wędzidła".

Takiemi słowy maluje sytuację we wspomnianych „Pamiętnikach" *Antoine*. Bez grosza w kieszeni, palony od dziecka gorączką teatru, zbliżał się do niego, jak umiał: biegał po najwyższych kondygnacjach galerji, bywał klakierem, statystą, słuchając równocześnie wykładów Taine'a i zaczytując się w Zoli. Wreszcie zdobył się na odwagę i zgłosił się jako kandydat do *Konserwatorjum* (rządowa szkoła dramatyczna przy „Komedji Francuskiej"). Nie miał protekcji, więc spalono go przy egzaminie wstępnym, ale zato wzięto go do wojska. Gdy po kilku latach zrzucił mundur, szczęśliwy był, gdy znalazł nędzną posadę biurową *w gazowni miejskiej*, dorabiając jeszcze parę franków, jako pisarz sądowy. Ale namiętności do teatru pozostał wierny.

Urzędnicy gazowni mieli swoje *Kółko amatorskie*. Nazywało się *„Cercle Gaulois"* (Koło galickie) i grywało w małej salce daleko za pierścieniem północnych bulwarów. Antoine został *kierownikiem* tej scenki. W sąsiedztwie grało inne towarzystwo amatorskie. W szlachetnej emulacji pragnął Antoine urządzić *premjerę literacką* z utworów nigdzie

ANDRÉ ANTOINE.

niegranych, na którąby przyszła także prasa. Dali mu swoje jednoaktówki trzej mało znani literaci: *Byl, Vidal i Alexis*. Ten ostatni był *przyjacielem Zoli* i uzyskał od niego udramatyzowaną nowelę, odrzuconą właśnie przez teatr oficjalny. Miała tytuł *„Jacques Damour"*, motyw Enoch Ardena (znany też u nas dzięki *„Na zawsze"* Luc. *Rydla):* mąż uznany za zmarłego, wraca po latach do domu i zastaje żonę, poślubioną innemu. Temat znany, ale traktowany tym razem inaczej, bez śladu sentymentalizmu, *jaskrawo*, prawie brutalnie, w środowisku *proletarjackiem*.

Antoine prowadził próby z zapałem. Ale w trakcie tego zarząd Kółka zląkł się śmiałego przedsięwzięcia: skłonny był raczej wycofać się z imprezy, oddając salę w dzierżawę. I dzięki temu oportunizmowi urzędników gazowni, młody ich kolega André Antoine, z grupą wspomnianych literatów i co śmielszych amatorów, uzyskał *wolną rękę* działania, nadał teatrzykowi nazwę *„Teatru wolnego"* (Théatre libre) i *31 marga 1887 r.* odbyła się pamiętna *inauguracja*. Zjawili się przedstawiciele wielkich dzienników. Był też obecny *Zola i Alfons Daudet*. „Jacques Damour" odniósł *olbrzymi sukces*, a nazajutrz pisał *„Figaro"*: „W tem mieście, którego możliwości są niewyczerpane, znowu ktoś, może twórca, może szaleniec, zapalił jedno z tych *świateł*, od którego zapłonie kiedyś łuna *jutrzenki albo pożaru*".

Rozpoczęły się lata upartej walki. Niepowtórzonym w dziejach teatru przykładem stwarzał ten biedny urzędnik gazowni o własnych siłach *przewrót w teatrze*. Na drugiem przedstawieniu, w maju tegoż roku, zagrał utwór popularnego na bulwarach satyryka, *Bergerat'a (Caliban")* i zyskał jego poparcie. Próbował oprzeć imprezę na jakich takich podstawach drogą *abonamentu*, napisał własnoręcznie 1300 listów z propozycją i osobiście odniósł je adresatom. Abonament czyli subskrypcja miała między innemi tę dobrą stronę, że na zasadzie ustawy o zebraniach *za zaproszeniem* grać można było *bez cenzury*. W gazowni patrzano na tę rewolucję teatralną coraz nieufniej, czasu na pracę biurową miał Antoine coraz mniej. Porzucił więc posadę i oddał się cały swemu powołaniu, choć nie miało ono jeszcze żadnych trwałych podstaw materjalnych. Krytyka oficjalna nadal była *niechętna*. Sarcey pisał: „Jeżeli to jest nowa sztuka, w takim razie przybędzie ona nie wcześniej, aż ja odjadę". Młodzi autorzy garnęli się, ale — jak zwykle — rychło obrażali się, kiedy się ich nie grało. Zresztą wśród naturalistów było więcej talentów *no-*

welistycznych, niż dramatycznych. Stąd nieuniknione tarcia, zazdrości, niechęci, nawet wśród młodych. Pięciu z nich ogłosiło protest, między innymi głośni później: akademik *Lavedan i Descaves*. Wiernymi pozostali wspomniany *Bergerat, Catule Mendès, Zola i Alfons Daudet* (ojciec głośnego dziś polemisty grupy *„Action française"*).

Antoine opuścił małą salkę i wynajął teatrzyk na *Montmartre*. A jednak nadal była to tylko grupa amatorów. W drugim roku istnienia protagonistami zespołu byli: szwaczka, telegrafistka, architekt, buchalter i kupiec win. I o tych właśnie amatorach, na których nie łożył krociowych deficytów żaden zarząd miejski, powiedział *Zola:* „Sądzę, że to są ci właśnie aktorzy, których brak dawno i gorzko odczuwaliśmy". A gdy zespół ten, wyszedłszy poza udramatyzowaną epikę francuską, zagrał w lutym 1888 mocny dramat naturalistyczny *Tołstoja „Potęga ciemnoty"* — triumf był zupełny.

„Théatre libre" stał się *modą stolicy*. Tłoczyły się w nim tłumy snobów, znawców i entuzjastów, a choć Antoine ciągle jeszcze nie miał z niego żadnych zysków, cieszył się przynajmniej, że dochody jednego przedstawienia zapewniały spektakl następny. Zresztą zasada teatru *repertuarowego* nie pozwalała na powtórzenia *„serjowe"*, to znaczy wygrywanie sztuki aż do ostatniego widza, jak to czynią np. nasze teatry miejskie, goniące (zresztą bez skutku) za kasą. Każdą sztukę powtarzał Antoine najwyżej *trzy razy*. Nie mógł zresztą grać codziennie. Nie było to więc przedsiębiorstwo dochodowe. Tyle tyl, ko, że mógł już wynająć większą salę w centrum miasta, przy *Boulevard de Strasbourg*, gdzie grał *Ibsena, Hauptmanna, Strindberga, Björsona* i *odkrywał młode talenty* francuskie. Wśród tych ostatnich *(Barrès, Becque, Brieux, Coolus, Porto-Riche)* jego chlubą jest zwłaszcza najgłębszy ze współczesnych pisarzy scenicznych, zmarły przed trzema laty *François de Curel*, późniejszy akademik.

GABRJELA ZAPOLSKA.
Według portretu St. Janowskiego.

Rozgłos „teatru wolnego" dotarł rychło *za granicę*. Już w dwa lata potem (1889) za jego wzorem powstała (z inicjatywy między innymi *Hardena*) berlińska *„Freie Bühne"*, (Wolna scena), która w manifeście swym wygłosiła tesame hasła: *zerwanie z konwencją* teatrów oficjalnych, osobliwie *z patosem epigonów* romantyzmu, oraz *prawdę obserwacji i przeżycia*. To hasło prawdy czyli naturalizmu ma w teatrze *dwa znaczenia:* jedno dotyczy *techniki aktorskiej*, drugie *repertuaru*.

Co do pierwszej, to wtedy po raz pierwszy pojawili się na scenie aktorzy, którzy w prawdziwym pokoju mieszczańskim, wśród prawdziwych mebli chodzili z rękami w kieszeni, odwracali się tyłem do publiczności, rozma-

OTTO BRAHM.

wiali bez afektacji, nie monologowali do siebie, ani nie odzywali się „na stronie", słowem, zachowywali się tak, jak gdyby czwarta ściana sceny nie była otwarta na publiczność. Z czasem wszystko to stało się oczywistem, ba, z czasem zwyrodniało w *nową konwencję („gierki"!)*, często nieznośną. Ale wówczas był to przewrót dobroczynny dla teatru, zwalczany gwałtownie przez krytykę, która widziała w tem *spospolitowanie* świątyni sztuki.

A co do *repertuaru:* był to repertuar *naprawdę współczesny*. Przestano młócić fikcyjne konflikty, które nikogo nic nie obchodziły. Zajęto się analizą piekących spraw socjalnych, kolizyj rodzinnych, zawiłych kompleksów psychologicznych. Co prawda, i w tym kierunku przesadzono, mianowicie w atakach na obłudę etyki mieszczańskiej i burżuazyjną rodzinę. Dobre wyobrażenie o takiej *„comédie rosse"* („komedja zjadliwa") daje u nas *Zapolska*, (która pracowała jakiś czas u Antoine'a) i jej walka z *dulszczyzną*. Ojciec, stary safanduła, najchętniej siędzący w knajpie; matka łakoma na pieniądze, wulgarna i bez skrupułów; córeczka, kandydatka na kokotę, i synalek karciarz, goniący za posagiem — ten niewesoły „przekrój życia", podany w intrydze, pełnej bezecnych kompromisów i handlowania sumieniem — to wszystko stało się także z czasem *„kliszą"* i konwencją. Ale wtedy był to pożądany *odczynnik* na zwietrzałe szablony i sztuczność

TADEUSZ PAWLIKOWSKI.

intrygi. *Zwyczajny człowiek* i jego równie *zwyczajna dola* zdobyły scenę i nie dały się już z niej wyprzeć.

Tosamo, co dla wyzwolenia teatru francuskiego Antoine, uczynił w *Niemczech Otto Brahm*, kierownik wspomnianej *„Freie Bühne"*, a u nas *Tadeusz Pawlikowski*, który Antoine'owi wiele zawdzięczał. „Wolna scena" berlińska rozpoczęła *„Upiorami"* (1889), zdobywając odrazu dla Ibsena Berlin i Niemcy, ale istotnym poetą tej sceny stać się miał młody *Gerhart Hauptmann*. Jakoż właściwą inauguracją był w tymże roku 20 października odegrany dramat socjalny Hauptmanna *„Przed wschodem słońca"*. Był to jeden z najdzikszych *skandali*, jakich widownią był kiedykolwiek teatr, a wiadomo, że skandalem rozpoczynała się zawsze w teatrze *nowa* epoka rozwoju *(„Tartuffe"* Moliera, *„Hernani"* V. Hugo). Jaskrawy utwór Hauptmanna znany był już z wydania książkowego. Gdy więc w scenie jęków porodowych (dochodzących z za kulis) jeden z demonstrantów w krzesłach podniósł do góry kleszcze porodowe, wszczęła się dzika *bójka* na pięście i laski. W sztuce tej nietylko poddano niszczącej krytyce rodzinę mieszczańską (jak w „comédie rosse", w Ibsenie „Norze" i „Upiorach"), ale na deski sceniczne wstąpił też po raz pierwszy *proletarjat* górników i parobków w

GERHART HAUPTMANN.

walce *klasowej* ze zbogaconemi chłopami, pod których ziemią (na Śląsku) wykryto pokłady węgla. Poza wszelką agitacją programową objawiło się tu też właściwe Hauptmanowi *współczucie* dla cierpiącego człowieka, a w djalogu nie precyzja stylu ibsenowskiego, lecz *konsekwentnie* naturalistyczne fragmenty, nieraz zdań codziennych, jąkania i zamilczenia ludzi bezbronnych. Sam Otto Brahm, choć nie był właściwie reżyserem, to znaczy nie umiał a priori stawiać sztuki na nogi *jedną koncepcją* i do tej koncepcji zapalić aktora, to jednak dzięki wrodzonemu poczuciu *rzetelności* miał negatywny zmysł, wykluczający wszystko załgane i upozorowane: w ten sposób samorzutnie niejako, siłą doboru naturalnego, skupili się dokoła niego autorzy *(Schnitzler, Bahr, Hartleben)* i aktorzy, nastawieni na niepatetyczną prawdę życia i stworzyli styl epoki. W tym zespole znalazł się też młody *Maksymiljan Reinhardt*, który na razie grywał znużonych, pobitych przez życie ludzi naturalizmu, zwłaszcza ludzi starych, ale w tym aktorze charakterystycznym dojrzewał młodzieńczy reformator teatru, który teatr ten miał poprowadzić w niedalekiej przyszłości we wręcz odmiennym, *antinaturalistycznym* kierunku.

Sigma.

Ciekawostki etymologiczne.

Baba.

Baba — stara kobieta. Wyrażenie *pogardliwe, niegrzeczne*. Baba — to brzydki finał pięknej powieści, jaką jest *kobieta*. Urocza niegdyś uwodzicielka, dziś jest „babą o sie-

Wśród nowych książek.

Kraków, 20 grudnia 1931.

Juljusz Kleiner: ZARYS DZIEJÓW LITERATURY POLSKIEJ, t. I. Od początków piśmiennictwa do końca rządów Stanisława Augusta, z 35 ilustracjami i 4 tabelami (w wydawnictwie: Literatura polska dla klas wyższych szkół średnich ogólno kształcących t. I cz. 2).

Podręczników historji literatury polskiej szkolnych i pozaszkolnych zaiste nam nie brak; przeciwnie, może ich jest nawet *za dużo*, a mnożenie się nowych, wydaje się tem dziwniejsze, że jak zagranicą, tak i u nas, ustalił się już pogląd, że znajomość dzieł reprezentatywnych i wiecznie aktualnych, umieszczona na tle historyczno- kulturalnem, powinna zastąpić w szkole dawną historję literatury. Jej podręczniki szkolne powinnyby więc przedewszystkiem dawać owo tło i ograniczać się do jasnego oświetlenia postaci reprezentatywnych, o ile tego oświetlenia nie zawierałyby już szkolne opracowania autorów, stanowiących obowiązującą lekturę. Jeśli uczeń czytał już np. *Pieśni, Treny i Odprawę* Kochanowskiego z odpowiedniemi wstępami i objaśnieniami, to na co ma czytać jeszcze długi *ustęp* o Kochanowskim w jakimkolwiek podręczniku literatury, który mu na końcu zaleca czytać o tem jeszcze raz w wydawnictwach, objaśnionych przez X czy Y. Trzeba sprawę postawić otwarcie i wyznać, że podręczniki historji literatury pisze się poto, aby zastąpić wszelkie osobne wstępy i objaśnienia do wydań autorów; tych wydań z wstępami nietylko więc nie należałoby polecać, ale wypadałoby je przemilczeć. Wystarczy czysty (tani) *tekst*, a resztę masz *w podręczniku literatury!* Idąc dalej na tej drodze, skupi się teksty w jakimś *Skarbczyku* (jak dawna *„Złota przędza poetów i prozaików polskich"*) czyli po prostu w — *Wypisach* i wróci się do tego, co było przed 50 laty, a czego zmianę uważało się za zdobycz pedagogiczną i dydaktyczną. Na razie zaczął się już ten *ruch wsteczny*.

Te uwagi odnoszą się tylko do samego faktu wydania nowego podręcznika literatury polskiej, a nie do samego podręcznika, który już ze względu na osobę autora, zajmującego dziś w Polsce bezsprzecznie pierwsze miejsce wśród historyków literatury, budzi duże zainteresowanie. Prof. *Kleiner* niedawno ogłosił po niemiecku szkic Literatury polskiej w *Handbuch der Literaturwissenschaft* i pokazał światu, co nowego wnieśli Polacy do skarbca literatury powszechnej. Ciągłe porównywanie dzieł polskich z zagranicznemi miało zagranicy ułatwić podejście do nich, ale kto wie, czy zachowanie tej perspektywy nie byłoby się przydało i polskim czytelnikom nowego podręcznika polskiego. Przy jego pisaniu był jednak autor, jak przypuszczamy, skrępowany programem całego wydawnictwa, ułożonym przez dwóch innych firmantów, *Juljusza Balickiego* i *Stanisława Maykowskiego*. „W ograniczeniu mistrz się pokazuje". I prof. Kleiner okazał się mistrzem w dostosowaniu się „do psychiki młodocianej i do postulatów dydaktyki i pedagogji współczesnej". Szkic literatury i kultury średniowiecznej i humanistycznej do r. 1543 czyta się jak rozdział artystycznej powieści historycznej, a następne podejście do *Reja, Górnickiego, Kochanowskiego* jest „majstersztykiem" pedagogicznym i dydaktycznym. Np. *Kochanowskiego* widzimy najpierw trochę podchmielonego, jak dobija się znaną fraszką do pokoju śpiącego doktora Hiszpana, a przy tym wesołym wtórze poznajemy artyzm, widniejący w owej fraszce, poezję, jako środek wypowiedzenia treści osobistej, poczucie wartości poezji, jej możliwości, słowem całą poetykę renesansową w zastosowaniu do Kochanowskiego, poczem dopiero idzie szkic jego życia i „rozbiór" jego dzieł. Liryka Szarzyńskiego wspomniana jest tylko jakby dla kontrastu z liryką Kochanowskiego. I znowu szeroki fresk *Skargi*, a po nim *Klonowic* i *Symonides* jako zamknięcie wieku złotego. Obraz jego pisany jest zaprawdę złotemi głoskami. Następny rozdział *„od Goffreda Piotra Kochanowskiego do walki Konarskiego z ciemnotą"* spełniłby lepiej swe zadanie jako opowieść w rodzaju tej, którą prof. Kleiner napisał o średniowieczu i renesansie; w obecnej formie za dużo w nim nazwisk i autorów. Dopiero epoka *Stanisławowska* przedstawiona jest znów z maestrją, równą przedstawieniu epoki złotej. Sześć kartek o umysłowości francuskiej od *Kartezjusza do Woltera* i *Rousseau* i o współczesnej myśli angielskiej są wzorem, jak na szczupłej przestrzeni można wyłożyć rzeczy trudne (dla ucznia) w sposób przystępny, a nie bakałarski. Cała literatura i kultura Stanisławowska zachowały i w opowiadaniu prof. Kleinera swój styl — dworski, a takie dostosowanie formy opowiadania do treści, każe uznać także literackie, artystyczne zalety Zarysu, godnego czytania przez każdego inteligenta.

Stanisław Wyspiański, DZIEŁA, tom VI. Fragmenty dramatyczne, w opracowaniu *Leona Płoszewskiego*, Warszawa, Bibljoteka Polska.

Z pośród dwunastu fragmentów dramatycznych, objętych nowym tomem wydania zbiorowego, niemal wszystkie były już ogłoszone w całości lub w urywkach, tak, że rzeczy zupełnie nieznanych, wydobytych po raz pierwszy z tek pośmiertnych, tu niema. Te jednak, które dotąd ogłoszono tylko w urywkach, np. *„Rudera"*, *„Ajas"*, poznajemy po raz pierwszy w całej rozciągłości, a i te i wszystkie inne po raz pierwszy w tekście krytycznym, opartym o skrupulatne odczytanie trudnych nieraz rękopisów. Jako wydawca spełnił p. Płoszewski swój obowiązek znakomicie. Również jako komentator, egreseta. Siedmdziesiąt dziewięć kart jego *wstępu* przynosi wszystkie informacje, które narazie można było zebrać o czasie powstania i spisania poszczególnych pomysłów, ich podnietach wewnętrznych (problemy) i zewnętrznych (źródła) i ostrożne kombinacje co do rekonstrukcji całości pomysłu. W niektórych fragmentach było to możliwe dzięki zachowaniu spisu osób, aktów lub scen; w innych (historycznych) przez skonfrontowanie ich przez wskazanemi przez poetę lub wyszukanemi przez autora źródłami, które wskazują nietylko, co miało być przedmiotem scen, zaznaczonych tylko tytułem scenarjusza, lecz także np. niezaznaczonego finału.

Scena z tragedji antycznej o Ajasie, pierwszy akt i fragmenty 2-go i 3-go z dramatu renesansowego o Michale Aniele, Rafaelu i Juljuszu II *(„Juljusz II)*, fragmenty i scenarjusze czterech dramatów z historji polskiej *(„Piastowicze"* o synu Bolesława Śmiałego, Mieszku, otrutym przez Władysława Hermana; *„Król Kazimierz Jagiellończyk"*, *„Jadwiga - Hedvigis"*, *„Samuel Zborowski"*, *„Zygmunt August")*, jeden warjant na temat Szekspira *(„Śmierć Ofelji")*, fantastyczna scena spotkania Konrada — Mickiewicza z Goethem i Mefistem w Wejmarze, napisana po niemiecku *(„Wejmar, 1829")* i fragment dramatu fantastycznego o ruinach wawelskich *(„Rudera")*, oto treść fragmentów, których poznanie prawie zawsze daje laikowi mnóstwo wzruszeń estetycznych, jako to są przeważnie *disiecta membra* arcydzieł, a badaczowi pozwoli uzupełnić obraz twórczości największego dramaturga polskiego barwami, dotąd przeważnie niewyzyskanemi. Teatr prócz *„Zygmunta Augusta"*, fatalnie zradjofonizowanego w audycji lwowskiej w Wielką Niedzielę 1930, powinien przy rozmaitych sposobnościach odgrywać *„Śmierć Ofelji"*, pierwszy akt *„Juljusza II"* i *„Weimar"* w odpowiednim przekładzie polskim.

Dla badacza Wyspiańskiego wprost nieoceniony jest też *Dodatek*, przynoszący spisy młodzieńczych utworów i pomysłów i wiadomości o pomysłach dramatycznych i utworach zniszczonych. Przedmiot *Danaid* i *Hioba* (z r. 1891) określają tytuły. O *Fantastach*, włączonych do trylogji: *Podzamcze—Wawel—Idea* (z r. 1892) wiemy coś od Opieńskiego i Maszkowskiego. *Wanda*, w której Rydygier mówił po niemiecku, przemieniła się później w *Legendę*. *Popiel* miał zużytkować wrażenia poety z nad Gopła. Do *Kwiatu cieplarnianego* odnosi wydawca notatkę Feldmana o bohaterskiej komunardce, gromiącej rozmaite kłamstwa. Kto wie, czy to nie ta sama dziewczyna lekkich obyczajów, która (według relacji A. G. Wysockiego) wyrzucona wieczór z domu, błąkała się po zaułkach Krakowa, została aresztowana, a rano wypuszczona, spotkała na plantach Ogrodnika i poznała w nim Zbawiciela. Sprawnie brzmią relacje o *Roku 46* Nie uwzględniono przytem rodzinnej tradycji *K. Stankiewicza*, wuja poety. O *Zegarze słonecznym*, w którym główna rola przypadała Aniołowi-Łucznikowi z wieży wawelskiej, opowiada B. Raczyński. W. Feldman zanotował plan *Dramatu współczesnego* na temat spowiedzi samobójcy: Był już Faustem. Napoleonem, Kolumbem — Nowej Polski i od niej ucieka, a miłość prowadzi go do krainy Piękna za grobem. Najdokładniejszy jest plan *Sądu ostatecznego*, odpowiednika do *Nieboskiej* Krasińskiego. Wszystkie te materjały już dziś rozszerzają i pogłębiają naszą znajomość twórczości Wyspiańskiego, a gdy

dmiu krzyżykach, bez zębów i ślepą". Używa się też *pogardliwie* o każdej kobiecie; następne przysłowia dosadnie to ilustrują: „Gdzie djabeł nie może, tam *babę* poszle", „Mała *baba* jak palec, a zła jak padalec", „Łacniej sto zegarków, niż dziesięć *bab* zgodzić", „*Babi* naród zawsze chytry" i wiele innych, co jedno to mniej pochlebne.

Wśród ludu *mężatki* nazywają „babami", np. „Skoro dzieweczce czepiec włożą, już ona *baba*"; wyrażenie: „*babę brać*", oznacza — *żenić się*.

Baba znaczy również *żebraczka*, kobieta *uboga*, biedna, np. „*Baba z pod kościoła*", „*Przyszła baba po prośbie*".

Babą zwiemy też kobietę, sprawiającą kłopot, *krępującą*, np. takie przysłowie: „Tylko kłopot *z babami*", „*Baba* z wozu, koniom lżej".

Babą jest często *posługaczka*, wyrobnica — „*Baba do posłóg*", „Baba do mycia podłóg".

O przekupkach mówi się też: „kłócą się *baby* na rynku", czasem znów odróżniamy *wieśniaczkę*, kobietę wiejską, która przybyła z produktami na rynek od przekupki i mówi się wówczas: „kupować u *bab* korzystniej, niż u przekupek.

L. Karski.

WITOLD NIESIOŁOWSKI.

Z życia małpki.

Hanka. — Spokojny tryb życia. — Figle i popisy akrobatyczne. Ciekawość i naśladownictwo. — Małpka kominiarzem.

Kraków, 20 grudnia.

Wybaczcie, piękne Hanki i Haneczki, że ośmieliłem się nadać *małpeczce* słodkie imię „*Hanka*". Proszę jednakże spojrzeć na to sympatyczne pysio, na te mądre oczka, fryzurę z rozdziałkiem na środku głowy! Czyż to nie jest miłe stworzonko, czy nie zasługuje na piękne imię? Zresztą, stało się, małpka nazywała się Hanka i to już teraz zmienić się nie da.

Wielkości niedużej *kotki*, była *szara* z blado-niebieskiemi piersiami i brzuszkiem. A *rączki* miała — śmiało można powiedzieć — *arystokratyczne*, wąskie, o długich paluszkach, paznokietki, jakby dopiero co wyszła od manikurzystki. Wprawdzie rączki te były z wierzchu kosmate, a dłonie koloru niebiesko-szarawego, ale to już widocznie taka moda u małpek. Również małpią modą nosiła Hanka za sobą *ogon* i to nie bylejaki, bo blisko *dwa razy* dłuższy, niż ona sama była.

Kupiła ją moja żona od jakiegoś Włocha, który widocznie obchodził się z nią nie bardzo delikatnie, gdyż skoro tylko żona moja wzięła ją na ręce, przytuliła do siebie i pogłaskała, już Hanka nie chciała więcej znać swego dawnego pana, nie pozwoliła mu nawet zbliżyć się do siebie, a tylko stroiła do niego przepocieszne miny, mające prawdopodobnie wyrażać *gniew, pogardę*, czy jakieś małpie przekleństwa. Przyniesiona do domu, rozgościła się natychmiast, czuła się jak u siebie, widocznie uszczęśliwiona swojem nowem gospodarstwem, gdyż co chwila rzucała się na szyję to mej żonie, to mnie, ściskała i z ogromną swadą coś opowiadała, prawdopodobnie o swych dotychczasowych przeżyciach i o tem, co się jej *u nas* bardzo podoba.

Przez dłuższy czas żyliśmy z Haneczką w ogromnej zgodzie i przyjaźni. Biegała po całem mieszkaniu, każdy przedmiot musiała *obejrzeć* dokładnie, *wziąć do ręki*, wszędzie jej było pełno i na ziemi i w powietrzu, gdyż nie wystarczała jej podłoga i sprzęty, po których

Małpka „Hanka" gniewająca się.

chodziła, ale odbywała też *podróże powietrzne, skacząc* np. z karnisza nad oknem na zegar ścienny, stąd na dużą lampę, wiszącą na środku pokoju, to znowu na szafę czy inny sprzęt. Wprawdzie te popisy akrobatyczne Hanki nie zawsze były dla sprzętów zdrowe, ale za te psoty i drobne niewygody mieliśmy przez cały dzień prezdstawienia cyrkowe, kino, przedstawienia zawsze o programie pierwszorzędnym, całe dnie śmiechu i wielkiej uciechy. Przywołana, przybiegała zaraz, a często nawet z własnego popędu wyskakiwała żonie mej na ramię, obejmowała ją rączkami za szyję, przytulała swoje pysio do twarzy, pieściła się jak dziecko i zawsze coś bardzo ciekawego opowiadała.

Wczesnym wieczorem usadowiała się *do snu*, najczęściej na sztaludze malarskiej, stojącej w kącie pokoju, z czasem jednakże zrobiła odkrycie, że się dużo wygodniej i cieplej śpi u mnie „*za pazuchą*"; rozpinała mi bez ceremonji kamizelkę, właziła za koszulę i spokojnie spała, a gdy mnie zkolei sen zmorzył, gdy wybierając się do łóżka chciałem ją przed tem usunąć, umykała pod koszulą

Płk. Witodl Niesiołowski, autor niniejszego artykułu, z małpką „Hanką" na ramieniu.

na moje plecy, skąd można ją było wyciągnąć dopiero po mojem całkowitem rozebraniu się. Na noc wsadzało się ją do dużej *klatki*, a czasem trzeba było sprawić jej tę przykrość i za dnia, aby całego domu nie wywróciła do góry nogami, gdyśmy oboje wychodzili do miasta.

Jadała przeważnie *ryż surowy*, ale także *orzechy, owoce, cukier*, lubiała pasjami surowe *jaja*, nie pogardzała też *trunkami*, jak piwo, wino lub wódka. Uciesznie wyglądała, gdy jej podano wiśnie, z których wkładała od razu 5—6 do ust, wypychając niemi policzki i żuchwy, przyczem wyglądała, jak wielce poważny portjer z ogromnemi bokobrodami.

Z czasem, gdy już poznała wszystko, co w mieszkaniu gdziekolwiek stało, leżało czy wisiało, zaczęła się interesować *szufladami* i innemi *skrytkami*, co zaczęło nam być nieprzyjemnem, gdyż często robiła *znaczne szkody*. Chcąc wszystkie jej sprawki opowiedzieć, trzebaby całą książkę napisać, muszę się przeto ograniczyć do opowiedzenia tylko kilku, jakie mi szczególniej w pamięci utkwiły.

Hanka, na którą doprowadzony nieraz do t. zw. szewskiej pasji, jakąś szkodą wyrządzoną przez nią, wołałem: *Ty małpo przeklęta*, ty *małpiszonie*, lub krótko *piszonie*" — które to ostatnie przezwisko przylgnęło do niej z czasem jako drugie imię — interesowała się ogromnie wszystkiem, co ktoś z nas robił i starała się to *naśladować*. Naśladowanie to było jednak zawsze zaprawione prawdziwie *małpim humorem* i było raczej zgrabną przeróbką, gdyż potrafiła ona ze sprawy poważnej zrobić z łatwością *humoreskę*, z czegoś zupełnie obojętnego *tragikomedję* czy *dramat*.

Zatopiony w rozłożonej przed sobą gazecie, zaś żona moja zajęta jakąś robótką, nie zauważyliśmy, że *Hanka-Piszon* znikła nam na chwilę z oczu. Po jakimś czasie wyszedłem do drugiego pokoju i zobaczyłem Piszona na biurku mej żony, nalepiającą z ogromną powagą znaczki pocztowe na papierach wyciągniętych z szuflady, na książkach i t. p. Znaczki pocztowe schowane były w osobnej kopercie i włożone do pudełka między papiery listowe, co szelma Piszon podpatrzyła, aby się potem zabawić we *frankowanie*. Innym razem zabrała się do *pisania*, wyjęła z szuflady biurka flaszkę z atramentem, wyciągnęła korek zębami i wzięła się do pisania, maczając *palec w atramencie* i smarując nim biurko, pudełka, papiery, wszystko co jej pod ręce wpadło. Gdy żona moja weszła do pokoju, spostrzegła co się dzieje i zawołała na nią, Hanka czując, że zrobiła coś złego, palnęła flaszkę z atramentem na dywan, sama zaś w jednej chwili znalazła się na szafie. Jak wyglądał dywan po rozbiciu na nim całej flaszki z atramentem, można sobie wyobrazić. Na krzyk żony wpadłem do pokoju, a widząc dywan zniszczony atramentem, wziąłem rózgę, aby Piszona skarcić i przetrzepać mu skórę. Ale jak tu złapać takiego djabła, jak go dostać w ręce? Goniłem za nią chwilę, ale że nie mogłem skakać po szafach, zegarze, lampie czy piecu, musiałem więc, chcąc nie chcąc, odłożyć ukaranie jej na stosowniejszy moment, a Piszon, siedząc na piecu, stroił do mnie takie komiczne miny, tak się mi przekrzywiał i wymyślał po małpiemu, że mimo wściekłej irytacji, zacząłem się szalenie śmiać, w czem mi żona moja serdecznie pomagała. A zresztą — później — jakże takie maleństwo bić? Tem więcej, że Hanka wykalkulowawszy widocznie po mojej minie, że burza przeszła, machnęła się najkrótszą drogą z pieca na lampę, stąd na stół, wreszcie na moje ramię i dalejże mnie ściskać i przepraszać i przymilać się.

Służąca wyniosła materace z łóżek do przedpokoju i położyła je na podłodze przed lustrem tak, że stos cały dostawał do wysokości ramy. Dla Hanki nowość, dalejże więc, wysmyknęła się z pokoju, jednym susem była na materacach. Wybiegłem za nią, ale niestety o parę sekund za późno i tylko widziałem, jak Hanka z groźną miną skoczyła głową naprzód na swego przeciwnika, który się jej ukazał w lustrze, a którym było jej odbicie. Szkło lustra było cienkie, więc rozleciało się w kawałki przy uderzeniu głową małpki, ale uderzenie było widocznie dość silne, gdyż *Hanka zemdlała*. Zamiast jej skórę prze-

---

zostaną w dalszych tomach pomnożone nowemi materjałami lirycznemi i epistolograficznemi, będzie można przystąpić do opracowania jakiegoś dzieła syntetycznego.

Bronisław Rakowiecki, komentarz prawnika do prologu „Nocy listopadowej" Wyspiańskiego, Łódź, nakładem Autora.

Prawnicy nieraz zabierali głos w sprawie szczegółów jurydycznych w *Eschylosie* czy *Szekspirze*, a nawet Wyspiańskiego *Klątwą* i *Sędziami* zajmował się z tego punktu widzenia prof. *Gołąb*. P. Rakowiecki, wbrew tytułowi swej rozprawki, nie daje do *Nocy listopadowej* komentarza prawniczego (bo po prawniku spodziewamy się takiego), tylko — *alegoryczny*. Alegorja wychodzi, jak wiadomo z założenia, że poeta co innego mówi, a co innego myśli i dlatego słowa jego mają poza werbalnym inny, głębszy sens. Prawnik stara się wyjaśnić głębszy sens *Pallady, Nik, Aresa*, częścią z pomocą fantastycznych etymologij (jako greczysta, stwierdzam ich fantastyczność), częścią z pomocą astrologji, częścią z pomocą historji polskiej. Jeden szczegół: Nika Termopil przypomniała Wysockiemu Warnę (od warów, źródeł gorących): to samo znaczą Termopile, a nadto bitwę pod Lignicą i pod Cecorą; Wyspiańskiemu przypominała bój o Olszynkę, gdzie po stronie rosyjskiej walczyły pułki strzelców, wsławione zdobyciem Warny na Turkach w r. 1828. Takie i tym podobne fantastyczne kombinacje prowadzą autora do propozycji (na str. 54) by przy przyszłych przedstawieniach przebrać Nikę z pod Maratonu za Krakusa-Kosyniera lub Ułana z r. 1831 z lancą, Nikę z pod Salaminy za Czarnieckiego, z pod Termopil za husarza z tarczą (na niej krzyż), Nikę Napoleonidów za ks. Józefa Poniatowskiego, Nikę z pod Troi za Emilję Plater (wcielenie Grażyny, pod której maską ukrył poeta królową Jadwigę), Nikę z pod Cheronei za szaraczka z Mazowsza w maciejówce... Nie chcę proponować, za co trzebaby „wystylizować" autora takiego komentarza i stwierdzam tylko, że nawet w literaturze o Wyspiańskim, mającej od *S. Lacka* dziwnych hierofantów, jest to — rzecz nie do wiary.

Juljusz Kaden Bandrowski, ZA STOŁEM I NA RYNKU, Lwów, Ossolineum.

Na nowy tom prozy Bandrowskiego złożyło się 39 artykułów literackich i 12 legjonowo-wspomnieniowych, bo trudno powiedzieć propagandowych. Wspomnienie o Konarach czy mowa imieninowa z 19 marca 1931 (solenizant bawił na Maderze), wskazują kierunek tej drugiej grupy utworów, którą autor umieścił „*Na rynku*" Grupa pierwsza „*Za stołem*" obejmuje trzy działy, z których ostatni otrzymał od kierownika poradni literackiej w „*Literackim Głosie Prawdy*" tytuł „*Przy warsztacie*", choć w tym warsztacie opracował także mowę radziecką o przemianowanie Placu Saskiego na Plac Piłsudskiego i mowę za subwencją miejską dla szkół muzycznych i mowę w setną („*stuletnią*" *(!)* wydrukowano na str. 226) rocznicę powstania listopadowego i powitanie zjazdu Unji intelektualnej w Krakowie imieniem Polskiego Klubu Literackiego i feljeton sylwestrowy (na nowy rok) i feljeton gwiazdkowy i artykuł jubileuszowy o Aleksandrze Michałowskim. Najwięcej „literatury" (poza Naszą Freblówką literacką) dotyczą dwa świetne artykuły o *Sieroszewskim* z okazji jego jubileuszu. Charakterystyczny dla Bandrowskiego jest opis jubilata: „Głowa tego pisarza jest pomierna, w kształcie nieosobliwa, w ogólnym charakterze raczej przydatna niż piękna, u nasady karku podcięta grubemi bliznami". Dalej idzie opis czoła, fryzury, oczu, nosa, oddechu, ust z wąsami... Bandrowski pokazuje nam zawsze osobę, o której coś mówi, bo u niego szczegół, konkret stanowi zawsze murowaną podstawę do wszelkich dalszych poczynań literackich. Jeśli ma mówić o znaczeniu książki, to opisze trzy rodzaje książek w swojej bibljotece. Rozmyślając nad zmiennością wszystkiego, pragnie, aby „mógł poznać choćby na przeciąg jednej sekundy, bym mógł doświadczyć — istotnej rzeczywistości". Problemy ogólniejsze, np. *Co to jest romantyzm*? rozpadają mu się na szereg różnorodnych szczegółów i nie krystalizują się w jakiejś ogólnej definicji czy formule. Wstępna rozprawa o romantyzmie jest słaba i bezowocna, a nie lepsza przedmowa do Pana Tadeusza na filmie lub odświętne o *Słowackim, Wyspiańskim Sienkiewiczu*. Autor ich nie widzi. Ale niechno go wesprą osobiste wspomnienia, to artykuł o *Micińskim* (Pisarz odświętny), *Żeromskim, Daniłowskim, Słońskim, Przybyszewskim, Orkanie*, wypadnie bystro i żywo. Niemniej bardzo taktowne i ujmujące są wystąpienia autora na terenie między-literackim zagranicą. „*Wśród obcych*", jak „*Wśród swoich*", to wyborne szkice literackie, obciążone ze względów wydawniczych dwoma dalszemi działami, które są raczej *publicystyką* niż literaturą.

R.

Jan Stanisław Bystroń: „SZKOŁA I SPOŁECZEŃSTWO".

Prof. Uniw. Jagiell., dr. J. Bystroń, który niedawno z dziedziny *etnografji i etnologji* przesiedlił się do ziemi obiecanej *socjologji*, zadebjutował w tej dziedzinie dziełem, które odrazu stawia go w pierwszym rzędzie socjologów polskich.

Wymienione w nagłówku powyższych uwag dzieło prof. Bystronia o *socjologji szkoły*, stanowi w naszem piśmiennictwie nowość całkowitą tak pod względem wyjściowych stanowisk badawczych, jak pod względem niezwykle szerokiej skali, w jakiej problem socjologji szkoły został przezeń ujęty.

Autor rozpatruje problem socjologiczny szkoły z dwóch zasadniczych punktów widzenia: *selekcji społecznej*, więc szkoły jako czynnika doboru grupowego i przechodzenia od jednej grupy społecznej do drugiej, tudzież *selekcji biologicznej*, więc wpływu szkoły na rozwój fizyczny i losy życiowe przechodzących przez nią pokoleń.

Niesposób wdawać się na tem miejscu w obszerniejsze omawianie i streszczanie tego dzieła wielkiego nietylko rozmiarami, lecz także włożoną w nie pracą i wiedzą. Autor wyzyskał w niem i uwzględnił całą nowoczesną i współczesną literaturę przedmiotu we wszystkich głównych językach europejskich, obok zadań samodzielnego badacza i nauczyciela, spełniając także w znakomity sposób w tym ważnym zakresie misję umiejętnego, ścisłego i krytycznego pośrednika między czytelnikiem polskim a całym odpowiednim wycinkiem nauki i myśli nowoczesnej w świecie cywilizowanym.

Przy całej stuprocentowej naukowości dzieła, jest ono łatwo dostępne, zaleca się niezwykłą jasnością wykładu i przejrzystością układu niemiernie bogatej i różnorodnej jego materji.

Księga wydana przez Naukowe Tow. Pedagogiczne starannie tak, że dzieło prof. Bystronia nietylko pod względem treści, lecz także i swej szaty typograficznej ma wszystkie cechy europejskiego.

Jan St. Bystroń: „SOCJOLOGJA" — WSTĘP INFORMACYJNY I BIBLJOGRAFICZNY.

Rozpoczynając systematyczne wykłady z dziedziny socjologji, prof. Bystroń postąpił ze wszech miar trafnie, publikując tę niewielką stosunkowo (148 str.), ale ważką pracę. Socjologja bowiem jest nauką tak młodą, a w ostatnich, szczególniej powojennych latach, rozwijającą się tak szybko i prawie burzliwie, że każdy jej adept, pukający dopiero do ciężkich jej wrzesiądzów, staje przedewszystkiem wobec niepokonanej prawie trudności, od czego zacząć, jaką wytknąć sobie drogę dla dalszych studjów, przedewszystkiem zaś dla zwyczajnego zaznajomienia sę z literaturą przedmiotu.

Informacyjne przewodniki w tej dziedzinie — starszy *Squillacego* i nieco młodszy, ale także już przestarzały *Bartha* — oba wydane jeszcze przed wojną, mają dzisiaj znaczenie już właściwie tylko historyczne. Socjologja bowiem zarówno w swojej części ogólnej, jak szczególniej w dziedzinie opisowo-monograficznej rozwinęła się po wojnie tak bujnie i wielostronnie, że do orjentowania się w tym rosnącym gąszczu potrzeba już całkiem nowych przewodników.

Po bardzo krótkim wstępie, dotyczącym przedmiotu socjologji w najogólniejszem ujęciu, prof. Bystroń w dziełku swojem przechodzi odrazu do wyliczania i omawiania najważniejszych dzieł literatury socjologicznej, najpierw ogólnych, a potem specjalnych, poświęconych już poszczególnym grupom zjawisk socjalnych i szczegółowym zagadnieniom mechaniki życia społecznego. Dzieło prof. Bystronia jest więc raczej rozumowaną *bibljografją socjologji, przedstawioną z właściwą temu autorowi jasnością wykładu i racjonalnością układu treści*. Jakkowiek zatem nie jest to dzieło w ścisłem tego słowa znaczeniu badawcze, to jednak jego znaczenie dla socjologji polskiej jest ogromne, czyni ono bowiem zadość tej fundamentalnej potrzebie każdego początkującego poznania aktualnego zasięgu wybranej przezeń nauki i zorjentowania się w jej dotychczasowych zdobyczach, czy chociażby tylko próbach i usiłowaniach.

K. S.

trzepać, trzeba ją było ratować, cucić, zlewać wodą, a na dobitek i żona moja w przerażeniu, że Hanka się zabiła, zaczęła mdleć, służąca wrzeszczeć — piekło, nieszczęście, rozbite lustro, czyli według orzeczenia służącej miało wróżyć jakieś nieszczęście... no i znów Piszon wyszedł bezkarnie.

Z nastaniem lata i ciepła kazała żona moja z pokoju gościnnego, który i tak rzadko był używany, powynosić pościel i wszystkie drobniejsze przedmioty tak, że pozostało tylko łóżko, stół i parę krzeseł. Postanowiliśmy zostawiać tam Hankę w razie naszego wyjścia z domu, aby jej nie męczyć zamykaniem w klatce. Do pokoju tego wstawiło się jeszcze drabinkę, parę żerdek, przeciągnęło się sznur od bielizny od ściany do ściany i t. p., aby Hanka miała zabawę i mogła uprawiać swoje sztuki cyrkowe. Zauważyliśmy, że nowość ta sprawiła jej prawdziwą przyjemność, więc wyszliśmy spokojnie do miasta. Naturalnie, że po powrocie pierwszą rzeczą było zaglądnąć do Hanki i przywitać się z nią. Wchodzimy oboje, rozglądamy się po pokoju, szukam pod łóżkiem, za piecem — Hanki niema, przepadła. Wołamy więc oboje, Hanka! Haneczka! jak tylko można najsłodziej, wreszcie po chwili wychyla się ten djabeł z pieca i już siedzi na ramieniu mej żony, ściska ją, obejmuje, rzuca się potem mnie na szyję — radość ogólna. — Nagle spojrzałem na mą żonę i zdębiałem. Cała twarz, szyja, ręce w czarne plamy i pręgi, bluzka letnia biała usmarowana popiołem i sadzami; zkolei żona moja otwiera szeroko oczy, patrząc na mnie umazanego, jak nieboskie stworzenie. Sytuacja była tak szalenie komiczna, że zapomnieliśmy o gniewie i szkodzie, obiecując sobie tylko na przyszłość więcej ostrożności.

Następnym razem zamknąłem dobrze drzwiczki od pieca, przymocowałem jej drutem tak, że otwarcie ich przez Hankę było niemożliwością. Wyszliśmy z domu spokojni i pewni, że poprzednia historja nie powtórzy się. No tak, poprzednia, niezupełnie, ale od czegóż Hanka, żeby nie wymyśliła jakiegoś nowego psikusa? Wracamy do domu, wchodzimy do pokoju Hanki, ale znowu gdzieś przepadła. Nauczeni ostatnim wypadkiem, cofnęliśmy się oboje przezornie ku wyjściu, prosząc ją znowu jak najsłodziej, aby raczyła się pokazać. Haneczka! Haneczka! — Coś zaszeleściało w górnej części pieca. Spoglądamy w tę stronę i o zgrozo! z rury blaszanej, łączącej piec z kominem ukazuje się głowa Hanki, czarna zupełnie od sadzy, a tylko się jej ślepka świecą. Istny djabeł! Ale już byliśmy oboje za drzwiami, zatrzaskując je śpiesznie za sobą, uradowani, że się nam tym razem tak szczęśliwie udało uniknąć uścisków Piszona.

Trzeba było jednak wydostać Hankę z zamkniętego pokoju, nie narażając się na usmarowanie sadzami. Ale jak? W tem sęk! Wreszcie żona moja wpadła na dobry pomysł; kazała zagrzać wody, nalać do cebrzyka i wstawić Hance do pokoju. Kąpiel lubiała ona bardzo, więc chlupnęła od razu do wody i dalejże nurkować, pluskać się, z czego skorzystała moja żona, przebrana już odpowiednio do tej operacji, chwyciła ją i wyszorowała porządnie.

Pewnie jeszcze nie raz byłaby nam Hanka zalała sadła za skórę, możeby wreszcie ta mała szelma była i chałupę podpaliła, gdyby nie nagły wybuch wojny. Ja musiałem bezzwłocznie wyruszyć w pole, a żona moja w krótkim czasie potem przenieść się do innej miejscowości, Hanką zaś uszczęśliwiła jakąś starszą panią. „Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie... *małpę!*"

Dr JERZY RONARD BUJAŃSKI.

„Kapitan z Köpenicku".

Człowiek, który ośmieszył pruski militaryzm.

Wspomnienie jubileuszowe.

Kraków, 20 grudnia.

Niezwykły to w każdym razie jubileusz, któremu chcemy poświęcić niniejszy feljeton. *Jubileusz „kapitana z Köpenicku"*, czyli innemi słowami *Wilhelma Voigta, szewca-wykolejeńca*, który *25 lat temu* stał się bohaterem

Wilhelm Voigt w mundurze kapitana.

sławnej na cały świat historji. Kawał polegał na tem, że ten zwykły człowieczek w mundurze kapitańskim (który nabył u handlarza starzyzny), dokonał rewelacyjnego i swoistego zarazem przestępstwa. Oto *zaaresztował burmistrza, zasekwestrował kasę* i kazał *prawdziwej eskorcie żołnierskiej* odtransportować przedstawiciela magistratu do Berlina. I to wszystko w imieniu „jego cesarskiej mości". Terenem tej imponującej swoim rozmachem historji było właśnie miasteczko — *Köpenick*. Trzy kroki... od *Berlina*.

Atmosfera faktu.

„Mundur" zrobił swoje. Kawał się udał. Późniejsze schwytanie Voigta zawdzięcza policja *zdradzie*. Wsypał go niewierny kompan. Ale to już nie należy właściwie do rzeczy. Nas interesuje i emocjonuje sens tej niesamowicie przemyślnej wyprawy Voigta do Köpenicku. Nas pociąga *atmosfera faktu, która obnaża w cudowny sposób militaryzm społeczeństwa pruskiego* (możnaby powiedzieć: klimat psychiczny). „Kapitan z Köpenicku" ma niewątpliwie coś *z symbolu*.

Tak oceniła to wydarzenie Europa współczesna i tak starała się ująć ten kapitalny bądź co bądź kawał szewca niemieckiego literatura, a przedewszystkiem może sławny dramaturg *Karol Zuckmayer*, którego *„Hauptman von Köpenick"* jest poniekąd syntezą dramatyczną rewelacyjnego przestępstwa Voigta.

Utwór ten odzwierciadla najwspółcześniej istotną treść „zbrodni" fałszywego kapitana najlepiej, najwierniej oddaje rytm tego niecodziennego wydarzenia, które oczywiście uartystycznił i politycznie pogłębił autor.

Tak więc interesujący z wielu powodów *reportaż dramatyczny* Zuckmayera stanowić będzie niejako *kanwę tego „jubileuszowego" wspomienia*.

Obłęd biurokratyzmu.

„Hauptmann von Köpenick" Zuckermayera jest bolesną satyrą ustroju społecznego, *parodystyczną* zarazem *rewją militaryzmu*. Autor „Knie" piętnuje idjotyczny biurokratyzm, który człowiekowi z t. zw. przeszłością nie daje *prawa pracy*, bo odbiera mu *„papiery"*, a bez nich (dokumentów normalnych) nie otrzyma się nigdzie zajęcia. A to jasne: bez papierów i bez pracy jest się niczem. I w tych warunkach trzeba albo złodziejstwem, albo kawałem w stylu szewca Voigta, ratować się z opresji. Oto proste rozumowanie. Fakt.

Nim Wilhelm Voigt — szewc — stał się komedjantem, „kapitanem z Köpenicku", zanim z włóczęgi wyrósł na bohatera kapitalnej farsy, długie dni i lata gnił w więzieniu za różne przewiny. Los nie był mu łaskaw.

Jakże bolesna ironja. Zważcie. Voigt jest już, niestety, jednostką „notowaną" przez władze. Siedział za tamto i za owo. Ale obrzydził sobie życie w „państwowym hotelu" (jakby przewidział kawalarz) *i chce wrócić do życia*. Chce pracować uczciwie.

Ale tak dobrze jeszcze w Niemczech za czasów Voigta nie było, aby ze świstkiem więziennym, chociażby po odsiedzeniu kary, umiał ktoś zdobyć kawałek chleba. Odsyłają więc Voigta po papiery na policję. Tu znów mówią mu reprezentanci porządku publicznego: jak będziesz pracował, pokaże się, że jesteś uczciwy, to damy ci papiery. Piekielny kołowrót. *Obłęd biurokratyzmu.* Pokażesz papiery (a nie zaświadczenie więzienne), przyjmiemy cię do pracy. Będziesz pracował — damy ci łaskawie papiery. Bez papierów zdechnij z głodu, albo kradnij. To na jedno właściwie wychodzi.

„Ohne Aufenthalt — und ohne Pass"...

Głębię zagadnienia najlepiej może syntezuje w sztuce scena, w której autor *zestawił Voigta Hoprechtem*, ściślej — *„człowieka dna"* z t. z.w *porządnym obywatelem*. Przy tym ustabilizowanym obywatelu — Voigt jest politycznie i społecznie łachmanem, nędzarzem ostatniego gatunku, gnanym i przeganianym przez prawo z miejsca na miejsce. Jest gorzej, niż psem bezdomnym. *Jest poza nawiasem społeczeństwa.*

Dla niego niema miejsca, domu, chleba. Nawet zatruwa powietrze. To nie literatura. To nie piękny okres.

Rzeczywistość, która się ugiąć, ani przezwyciężyć nie da. Nawiasem mówiąc — ten dialog pomiędzy Voigtem a Haprechtem jest tak wstrząsająco prosty, tak przekonywujący, że należy go uznać za scenę w utworze przełomową, za scenę bodaj najgłębszą.

Haprecht — „porządny obywatel" — chce ratować Voigta. Doradza mu w naiwnej szczerości: *powrót do społeczeństwa*. Bolesne nieporozumienie. Ciężar biurokratycznego państwa przydusza Voigta. Powrót do społeczności — bez papierów, bez prawa pobytu, bez pracy wreszcie... *Tak, bez prawa pracy.* Jakże to możliwe? Powiedzcie.

Człowiek niepotrzebny.

T. zw. uczciwy obywatel chce Voigtowi zaimponować *prestiżem ojczyzny*. Voigt — włóczęga — uderzony został w serce. O to jedno przecież on błaga, aby mu w tej jego ojczyźnie *żyć pozwolono*. Prestiż ojczyzny — to nie biuro policyjne, to nie stek papierów.

Voigt — łachman społeczny — dostrzega *w obywatelu człowieka, który cierpi.* Poza prawem, poza martwemi przepisami widzi organizm żywy, który jest godzien opieki państwa. Ten przyszły „Hauptmann von Köpenikc" najlepiej odczuwa idjotyzm, bezsiłę i nędzę *biurokratyzmu*, strojącego się *w ideały ojczyzny czy państwa.*

Voigt chce *żyć w ojczyźnie, w państwie.*

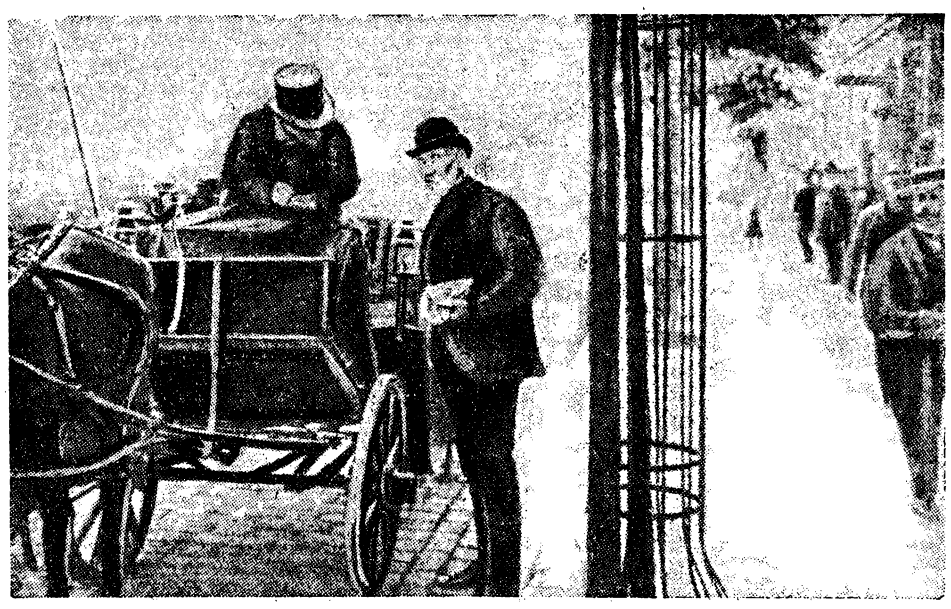

Wilhelm Voigt po opuszczeniu więzienia.

Dręczy go wyrzut: — co zrobili z jego życiem. Mógłby powtórzyć za bohaterem Ibsenowskim: ja was nigdy nie prosiłem o życie. I co za życie, jakie istnienie daliście mi w darze. Co za życie — — —

Jak żyd-wieczny tułacz, przeganiany z miejsca na miejsce bez spoczynku i bez wytchnienia. *Nikt nie poda mu ręki.* Jest skazany na śmierć głodową, bezlitosne skonanie. I zapewne żadne amen nie przymknie mu powiek. Łachman. Człowiek niepotrzebny.

Z takiej sytuacji ratować się można albo samobójstwem, albo złodziejstwem, albo *genjalnym kawałem*. Voigt wybrał to ostatnie, za co *skazano go na cztery lata więzienia*. Akt łaski cesarskiej przyszedł, zdaje mi się, dopiero po dwóch latach. Voigt odpokutował solidnie za obrazę „munduru", który ośmieszył. Sprawiedliwości cesarskiej stało się zadość.

Siła i czar munduru.

Ale to trzeba przyznać: kawał był genjalny. Pomyśleć: w ultramilitarystycznem państwie, w mundurze kapitańskim uwięzić burmistrza, zrabować kasę — i zwiać. Któżby podniósł rękę, któżby się ośmielił zaprotestować. Pan „kapitan" uczynił to wszystko bez okazania jakiegokolwiek dokumentu, rozkazu. Wystarczyło, że *był w mundurze, przy szabli.* Czego chcecie więcej — moi panowie?

Tak jest. Czyn Voigta dowiódł niezbicie, że *mundur i szabla rządzą społeczeństwem niemieckiem;* że wystarczy być w „mundurze", aby mieć *zagwarantowaną bezkarność.* Aresztować bez wyjaśnień, bez podania powodów, obrażać etc, co chcecie i jak chcecie. *Brawura i nonszalancja uniformu.*

Kawał Voigta ośmieszył cesarski uniform i jego wszechmoc i apostolską nieomylność. Zrobił się ruch. Tak — to był niezbity dowód, że przed mundurem wszyscy padają plackiem.

Oto sens najistotniejszy tego zdarzenia, które cieszyło świat i zarazem psuło krew militarystycznym obywatelom pruskim. — Szewc — Wilhelm Voigt — zdegradowany obywatel, zagrał świetnie swoją rolę. Jako „Hauptmann von Köpenick" wszedł do historji. *Postać w każdym razie symboliczna.*

Rytm reportażu Zuckmayera.

Nas przedewszystkiem ciekawi *tło tego zdarzenia.* Sedno zagadnienia. Interesują nas warunki, w których mógł zaistnieć tego rodzaju fakt. *To właśnie tło jest najpoważniejszym rytmem utworu Zuckmayera.* Trzeba przyznać, że autor podszedł do tematu po mistrzowsku. Obnażył atmosferę wyprawy „Hauptmanna von Köpenick", pogłębił temat, który przeobraził się *w zagadnienie społeczne.*

Utwór Zuckmayera jest utworem, budzącym głębokie refleksje *o społecznem zabarwieniu.* Ma więc pełne prawo obywatelstwa nietylko w literaturze dramatycznej.

Dzieło to, ten *reportaż w dobrem znaczeniu*, powinien przedrzeć się przez granice niemieckie i zdobyć wszystkie kulturalne sceny (t. j.

Wilhelm Voigt u schyłku swego życia.

społeczeństwa). Zasługuje na to w pełni.

Zamiast „bomby scenicznej" (jaką jest np. aktualny dzień reportażu, osnuty na tle sprawy *Dreyfussa)*, dał Zuckmayer reportaż bliski doskonałości. Śmiałe poplątanie pozatem scen tragicznych z rzutami głęboko satyrycznemi czyni momentami wrażenie *niesamowitej rewji militaryzmu i biurokratyzmu otumanionego społeczeństwa.*

Metoda dramaturgiczna.

Jakże barwna i zarazem sceniczna jest ta *metoda skrótów*, którą posługuje się z powodzeniem Zuckmayer. *Technika przecięć nawskróś współczesna*, choć inna, niż np. metoda dramaturgiczna Ferdynanda *Brücknera.*

Zuckmayer *w 21 scenach dał syntezę zdegradowanego człowieka*, który nie był (podług tezy autora) winien swej nędzy. *Tragiczny stygmat karalności*, który się włóczy za człowiekiem, jak nieustępliwy zły cień. I już niema znikąd pomocy. Ni wyjścia na powierzchnię. Finis.

Zuckermayer *dramatycznie to dokumentuje.* Bije z tego reportażu zdumiewająco świeży wiew prawdy *Wierzymy.* Rytm akcji wplata nas w powikłane tragikomiczne dzieje szewca, który miał stać się tak sławnym. Autor nas przekonywuje! Znaczy to: zwycięża. Rrzez nas i *scenicznie interesuje.* Znaczy to: ma zapewnione powodzenie.

Ideowość utworu.

— *„Nein — sagte der Zwerg — lasst uns vom Menschen reden. Etwas Lebendiges ist mir lieber als alle Schätze der Welt".*

To jest motto „Hauptmanna von Köpenick". I zdaje mi się, że to zdanie Grimmowskie tłumaczy tendencje autorskie.

To pewne: Zuckmayer stworzył *człowieka.*

To nie błazen, kukła, rola ubrana, odświętnie w kawały. To nie *Szwejk* w przeróbce scenicznej. *To postać.*

I to jeszcze: to nie jest tylko historja szewca, który nabrał genjalnie całe miasteczko pewnego dnia; to nie jest tylko opowieść o tym kawale, który obiegł cały świat. To jest fragment historji *zmagań człowieka z przesądami i bezprawiem.* Czyż trzeba powiedzieć więcej?

Kamieniołomy bazaltu państwowe a prywatne.

Inicjatywa prywatna w kamieniołomach bazaltu. — Skomercjalizowanie kamieniołomów. — Upośledzenie przedsiębiorstw prywatnych.

Kraków, 20 grudnia.

W związku z artykułem umieszczonym w N-rze 261. „Il. Kuryera Codz." p. t.: *„Tam, gdzie przed laty była jeszcze głucha puszcza"*, podajemy kilka szczegółów, odnoszących się *do kopalń bazaltu w Janowej Dolinie i Berestowcu na Wołyniu.*

Głuchą puszczą pod względem przemysłowym było i poniekąd jeszcze jest *Polesie* i cały *Wołyń.* Jedynie *przemysł kamieniołomowy*, znajdując naturalne warunki istnienia, w postaci bogactwa złóż kamiennych *granitowych i bazaltowych*, znalazł swoich pionierów.

Od r. 1921 powstają w miejscach, gdzie poprzednio ludność miejscowa dobywała kamienie na własne potrzeby, lub gdzie przedtem nikt nie domyślał się istnienia kamienia, przedsiębiorstwa polskie, jak: Tow. „Skała", Polski Przemysł Granitowy, Inż. Wolski i Wiśniewski, Zrzeszenie Samorządów Powiatowych, Związek Celowy Powiatów Górnośląskich, Tow. Eksploatacji Kamieniołomów i inne. — Niemałą pomocą dla powstającej prywatnej inicjatywy, były badania, przeprowadzone przez *Państwowy Instytut Geologiczny*, który jeszcze w r. 1920 i w następnych latach, opracował pod względem *geologicznym* tę połać kraju i udzielał interesującym się wyczerpujących informacyj o miejscach występowania, tych pierwszorzędnych pod względem wartości technicznej, skał.

Złoża w *Janowej Dolinie* znane były już poprzednio. O uzyskanie dzierżawnych praw eksploatacji tych terenów ubiegała się od r. 1922 *Spółka Kamieniołomy Miast Małopolskich*, w której zrzeszone są gminy miast *Krakowa, Lwowa i Tarnowa*, lecz z powodu trudnej decyzji czynników miarodajnych, bez rezultatu.

Starania te ponowiła Spółka w r. 1924, kiedy podjęła eksploatację sąsiadującego o 6 klm. z *Janową Doliną* kamieniołomu bazaltowego w *Berestowcu.* — Starania te natrafiły wówczas na większe jeszcze przeszkody, a to z powodu kiełkujących już *etatystycznych zamiarów* prowadzenia kamieniołomu przez *min. robót publicznych we własnym zarządzie.* Twórczy duch tego zarządu oparł się o budżetowe dotacje *wielu miljonów złotych*, które ułatwiły zainstalowanie nietylko niezbędnych do racjonalnego założenia kamieniołomu, ale tych wszystkich „stylowych budowli" i kosztownej kolei, które dla przedsiębiorstwa, pracującego o własnych siłach, byłyby ze względu na rentowność nie do pomyślenia.

Dziś istnieje podobno intencja rządu *skomercjalizowania wszystkich przedsiębiorstw państwowych* i zniewolenia ich do ponoszenia niektórych ciężarów, jak np.: podatki na wzór instytucyj prywatnych — co przyznać trzeba jest posunięciem bardzo aktualnem. — W każdym razie nawet mimo to *instytucje państwowe kamieniołomowe* pozostaną zawsze w znacznie *lepszem położeniu*, bo eksploatując na własnym gruncie, nie opłacają olbory, czerpiąc inwestycyjne i obrotowe środki z budżetu państwowego, nie płacą odsetek od tego kapitału w przeciwieństwie do instytucyj prywatnych, które za te środki wykładają odsetki bankowe w wysokości od 12 do 15 procent.

Częściowa komercjalizacja instytucyj państwowych, mająca być wprowadzona, o ile istotnie będzie wprowadzona, przyniesie niewątpliwie pewne *odprężenie* w dotychczasowym stanie rzeczy, lecz szkód wyrządzonych polityką lat poprzednich *nie naprawi.*

Z powodów wyżej przytoczonych, nikogo nie zdziwi, że *kamieniołom państwowy* nie tylko mógł wypierać szwedzki materjał z Gdyni, ale również *skutecznie zwalczać* wszystkie przed jego powstaniem założone *polskie przedsiębiorstwa kamieniołomowe na Wołyniu.*

Czy to było intencją b. min. Moraczewskiego, nie wiadomo.

Kamieniołom państwowy w *Janowej Dolinie* pracuje pozatem jeszcze w innych wyjątkowych warunkach, których dobrodziejstwo występuje w całej pełni na tle obecnych ograniczeń budżetowych w utrzymywaniu dróg.

Z natury rzeczy głównym odbiorcą *materjałów drogowych są władze państwowe i samorządowe*, te zaś wszystkie, idąc po linji nakazu min. robót publ., w pierwszym rzędzie pokrywają swe zapotrzebowanie z kamieniołomu *państwowego.* Ponieważ ograniczenia obecne są bardzo wielkie, przeto kamieniołom państwowy pokrywa prawie *zupełnie* zapotrzebowanie, a pozostałe kamieniołomy są albo *zamknięte*, albo pracują *w znikomym zakresie* swej zdolności produkcyjnej.

Czy tego rodzaju gospodarka jest właściwą ze względów ogólno-państwowych, należy wątpić, albowiem z jednej strony *pozbawia skarb państwa znacznych dochodów podatkowych*, uiszczanych przez prywatne, a skazane na bezczynność przedsiębiorstwa, z drugiej *nie daje żadnego ekwiwalentu.* Ekwiwalentem takim mogłyby być znacznie *niższe ceny sprzedażne* dla wszelkich zleceń, pokrywanych z funduszów państwowych.

Różnice cen jednak pomiędzy stosowanemi przez państwowe a prywatne zakłady, są bardzo *nieznaczne* tak, że oszczędności, jakie zyskują fundusze drogowe, nie pokrywają ani w części racjonalnego amortyzowania i oprocentowania kapitału inwestowanego.

Z drugiej strony te same ceny, stosowane wobec samorządów i prywatnych odbiorców, stanowią o *uprzywiljowaniu* tych samorządów, które z racji geograficznego położenia korzystają z kamienia państwowego, a już w stosunku do odbiorców prywatnych stanowią formalny *prezent.*

I w tem ujawnia się większy, aniżeli przy sporze o taryfę kolejową paradoks, że zakład, powstały z pieniędzy podatkowych, *zwalcza wpływ tych podatków i odstrasza* na tym przykładzie wszelką *prywatną inicjatywę.*

Tych parę uwag, niech będą raczej *przestrogą, że nie każda „twórcza radość" jest naśladowania godną* i że w „herkulesowej" pracy zarządu kamieniołomu państwowego, opartej na stojących bez ograniczeń funduszach, dopatrywać się raczej należy *państwowoburczych etatystycznych zapędów*, na *zniszczenie* tego, co już uprzednio na tej „głuchej puszczy" wołyńskiej zrobiono.

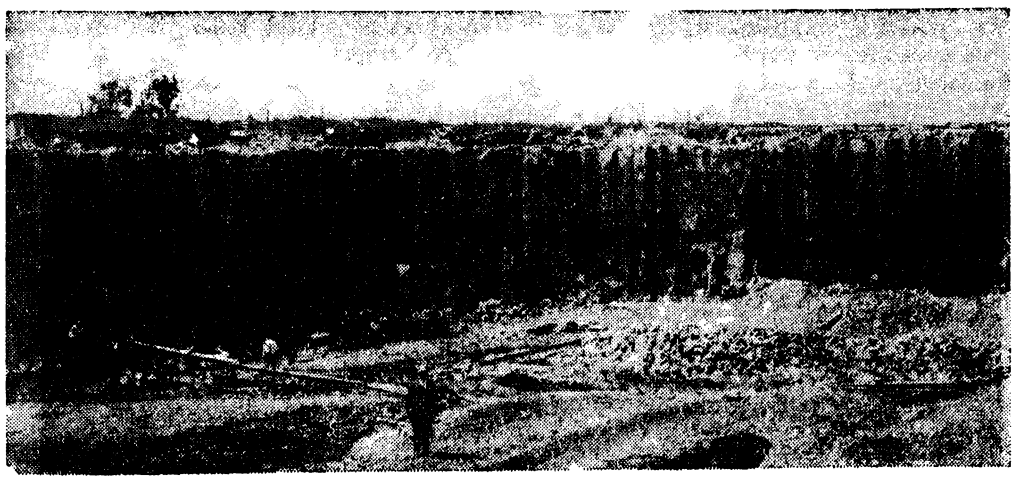

Wołyński kamieniołom bazaltowy w Berestowcu, Twa Eksploatacji Kamieniołomów Ska Akc., będący własnością miast: Krakowa, Lwowa i Tarnowa.

Myśli i aforyzmy.

Wielu dochodzi wysoko, ponieważ umie pełzać.

* * *

Burza wynosi nieraz wysoko to, co przy pogodzie nigdyby się z prochu nie podniosło.

* * *

Gdyby zwierzęta potrafiły myśleć, coby sobie myślały o ludziach!

* * *

Kłopot jest matką kłopotu.

* * *

Uznanie jest rośliną, która zbytnio się krzewi na grobach.

* * *

Szczęście mieszka zawsze u sąsiadów.

* * *

Głód jest najlepszym kucharzem. Jednakże często przesala on życie.

* * *

Zazwyczaj musi się z tymi ludźmi rachować, na których liczyć nie można.

* * *

Najzgryźliwszym jest się wtedy, gdy niema nic do zgryzienia.

* * *

W walce o swoje prawa musi się często cierpieć niesprawiedliwość.

* * *

Gdy chcesz dobrej rady, to nie pytaj o nią swego przyjaciela lecz swego wroga i zrób przeciwnie jak on ci radzi.

ZOFJA SIKORSKA (Kraków).

Hiszpańska muzyka religijna.

W zakresie całej kultury muzycznej hiszpańskiej jedynie tylko *muzyka kościelna* wydała utwory o wartości *trwałej*, co jest najlepszym dowodem, jak dalece *pierwiastek religijny*, dzisiaj przemocą niszczony, zrósł się z duszą narodu hiszpańskiego. Przepadły w mrokach zapomnienia kompozycje operowe XVII w., cień niepamięci pokrył utwory kameralne następnego stulecia, natomiast przetrwała wieki sława mistrzów, czerpiących swe natchnienie ze źródeł mistycyzmu katolickiego, jak *Tomas Luis de Victoria* i cała plejada kompozytorów XVI w., zwanego „złotym wiekiem" muzyki hiszpańskiej.

Ale przedewszystkiem wspomnieć należy o czasach bardziej odległych, o dawniejszych osobistościach i tradycjach, jak *św. Izydor, św. Leander* czy szkoła muzyczna *toledańska* (VII w.), przedewszystkiem zaś należy poświęcić kilka słów śpiewom liturgicznym obrządku *mozarabskiego.*

Obrządek ten, zwany dawniej apostolskim, toledańskim, gotyckim lub izydorjańskim, datuje się od pierwszych wieków chrześcijaństwa, a bierze swój początek ze zmieszania się *chrześcijan z Arabami*, którzy zezwalali chrześcijanom na odprawianie nabożeństw. Utrzymał się on w *Toledo* do dnia dzisiejszego, głównie dzięki renesansowi, jakiego zaznał w w. XVI za sprawą kardynała *Cisneros*, założyciela specjalnej kaplicy mozarabskiej we wspaniałej katedrze toledańskiej.

Wytworem duchowieństwa mozarabskiego była bogata kultura muzyczna, krzewiąca się bujnie na półwyspie Iberyjskim obok liturgji gregorjańskiej, a ślady jej pozostały w pięknych kodeksach średniowiecznych. Mając do wyboru oba obrządki, prałaci poszczególnych monarchij, na jakie rozpadała się ówczesna Hiszpanja, decydowali w każdym wypadku według osobistego upodobania, który z nich ma obowiązywać. Stolica Apostolska zostawiała im pod tym względem zupełną swobodę, gdyż brewjarz i mszał mozarabskie uchodzą za prawowierne, jako wywodzące się z tradycyj apostolskich. Wkońcu jednak zwyciężył i rozpowszechnił się obrządek rzymski z końcem XIII lub z początkiem XIV w.

Pierwszym wielkim kompozytorem religijnym był wspomniany na wstępie *Tomas Luis de Victoria* (1540—1611), który skupia w swej twórczości cechy charakterystyczne sztuki hiszpańskiej: zachwyt religijny i prymitywną nabożność, idealizm mistyczny i żar poezji, pełnej rozmarzenia. A jednak Victoria, tworzący samodzielnie w kierunku wytkniętym przez *Palestrinę*, nie był bardziej poważny niż *Cristóbal Morales*, ani bardziej mistyczny niż *Guerrero*, dwaj inni sławni kompozytorzy religijni „złotego wieku" muzyki hiszpańskiej, jeden *liryczny* i uczuciowy, drugi pełen *dramatycznego* nastroju. Obaj rodem z *Andaluzji*, pozostawili po sobie bogatą spuściznę artystyczną, a utwory ich, wydawane w różnych krajach, już za życia przyniosły im światową sławę.

Do tego samego okresu należą dwaj muzycy hiszpańscy, pracujący na polu muzyki katolickiej włoskiej: *Francisco Soto de Langa* i *Fernando de Las Infantas.* Ten ostatni jest twórcą kompozycji *„Plura Modulationem"*, która dla kontrapunktu wokalnego w. XVI posiada takie znaczenie, jakie miał dwa wieki później dla fugi utwór *Bacha „Wohltemperiertes Klavier"*. *Soto de Langa* zaś należy do jednego z pierwszych twórców *„Laudi spirituali"*, kompozycyj podówczas bez precedensu w zakresie polifonji, z przewagą melodji i harmonją prostopadłą w tonacji majorowej i minorowej.

Trzeba też wymienić na tem miejscu dwu ślepych organistów: jeden z nich to *Salinas*, drugi *Antonio de Cabezón*, znany ze swych preludjów i warjacyj, które zyskały mu przydomek *„hiszpańskiego Bacha"*. Obok nich działa mnóstwo innych kompozytorów, mniej lub więcej głośnych, których nie sposób omawiać tu zosobna.

Ale z upływem „złotego wieku" następuje nieuchronny upadek kultury muzycznej. Surowości zmanjerowanego *polifonizmu* ścierają się z nieporadnością systemu harmonizacji, często operującego tylko utartemi formami. Te same tendencje występują i w muzyce religijnej w. XVII. Jedni rozkładają kompozycję nawet na 36 głosów, podzielonych na chóry, inni znowu popadają w drugą skrajność i stosują jako nowość *„basso continuo"*. Muzykę wokalną *a capella* zastępuje śpiew z towarzyszeniem orkiestry, złożonej z harf, gitar, teorbanów, a później skrzypiec i t. d. Do wybitniejszych kompozytorów tego okresu należą: *Aguilera de Heredia, Carlos Patino, Pontac, Juan Antonio Pujol, Mateo Romero i Vicanco.*

W następnem stuleciu upadek ten postępuje naprzód. *Polifonji* starają się kompozytorzy przeciwstawić *melodyjność* włoską. Zanika powoli muzyka poważna i nastrojowa, uprawiana przez takich mistrzów, jak *Victoria i Morales* jakkolwiek nie brak zawziętych przeciwników nowej muzyki, przepełnionej zmysłowością bez mistycznych wzlotów. Przedstawicielami kierunku umiarkowanego, korzystającymi z nowości bez narażania dobrego smaku i dbałymi o ekspresję w swych kompozycjach religijnych, są *Ambiela, Ripolles i Francisco Valls.* Również szkoły w *Monserrat i Walencji* wydają z siebie nieprzeciętnych artystów.

Wiek XIX przynosi niestety z sobą jeszcze większy *zanik smaku i poczucia umiaru.* Zamiast *„paso"* czyli fug, organiści grają *sarabandy, menuety i „symfonje"*. Coraz bardziej pod wpływem Włoch uwydatnia się *teatralizacja* muzyki religijnej, zajmują dużo miejsca introdukcje orkiestralne i długie partje solowe. Zaledwie ten i ów muzyk zdołał uchronić się od wulgarności jak np *Mariano Rodriguez de Ledesma* lub *Pedro Aranaz.*

Ale wreszcie następuje reakcja. Pojawiają się nowe wydania starych mistrzów, a obok tego renesansu polifonji budzi się znowu zamiłowanie do *śpiewu gregorjańskiego*, aż wkońcu encyklika papieża Piusa X z r. 1903 w sprawie muzyki kościelnej kładzie kres wykonywaniu dzieł teatralnych i wulgarnych. Rozpoczynają się *kongresy muzyki liturgicznej.*

Na czoło tego ruchu wybijają się *Vicente Goicoechea i Julio Valdes*, a zwłaszcza kraj *Basków i Katalonja* dzierżą prym w nowej twórczości muzycznej. Katalończyk *Louis Romeu* jest najwybitniejszym z pośród kompozytorów, umiejących połączyć ducha muzyki katalońskiej z czystością mistyczną śpiewu gregrojańskiego, w takich utworach, jak *„Misas de la Virgen de Nuria"* i *„Misas de la Virgen del Rosario"*.

Nie brak też *teoretyków i propagatorów*, jak np. obecny przeor klasztoru w Monserrat, *Gregorio Sunol*, którego *„Wstęp do paleografji muzycznej gregorjańskiej"* (wydany w r. 1925) jest wyczerpującem i jedynem do tej pory studjum nad notacją gregorjańską w ciągu wieków i we wszystkich krajach.

Z odrodzeniem pieśni religijnej na jeden lub kilka głosów, z akompanjamentem muzycznym lub bez, idzie w parze renesans literatury muzycznej *organowej*, że wymienię tylko *„Nowożytną antologję organową hiszpańską"*, wydaną w r. 1909 przez *P. Otano*, powitaną entuzjastycznie przez świat muzyczny. I tutaj pierwsze miejsce zajmują *Baskowie i Katalończycy.*

W *nowożytnej* muzyce kościelnej hiszpańskiej dadzą się zauważyć różne wpływy: *polifonji, śpiewów gregorjańskich i melodyj ludowych*, ale najbardziej może charakterystyczną jej cechą jest *mistycyzm* Powaga i żar mistyczny łączy się w niej z ascetyzmem i z głębokiem wzruszeniem religijnem przy zupełnem wyzbyciu się szczegółików czysto technicznych, a wprowadzeniem na ich miejsce niezwykłej prostoty. Z podobnym zespołem czynników wewnętrznych nie może dziś mierzyć się żadna inna szkoła muzyki kościelnej.

STANISŁAW hr. MYCIELSKI.

Na falach rzeki Zambezi.

Koleją przez step. — W wiosce murzyńskiej. — Pierwsza antylopa. Na motorówce. — Ptactwo błotne. — Noc w podzwrotnikowej dżungli. Hipopotamy gośćmi nocnymi.

Zkolei zamieszczamy trzecie opowiadanie z cyklu artykułów *Stanisława hr. Mycielskiego*, opisujących przygody myśliwskie w puszczy południowo-afrykańskiej.
(Red.).

III.

Kraków, 20 grudnia.

Nareszcie kraj, o którym marzyłem. Siedząc w pociągu ciągle wyglądam oknem, czy zobaczę jakąś zwierzynę. Dżungla nie tak zwarta; częściej jedziemy przez typowy *step*. — Smutne on robi wrażenie. Trudno dopatrzeć się choć odrobiny zieloności. Żółto-szara trawa, wypalona jak po ogniu, i wierzyć się nie chce, że jakieś życie może istnieć w tym piekielnym żarze. Nagle zrywam się — 12 wspaniałych *strusi* spokojnie pasie się o kilkadziesiąt kroków od toru kolejowego. Bez cienia strachu, obojętnie patrzą na mknący pociąg.

Często jednak widziałem duże *sępy*, bez ruchu zawieszone w lazurze, ale za to tysiące bliżej mi nieznanych ptaków siadywały na drutach telegraficznych. Przez mgnienie oka zobaczyłem siedzącego na drucie dużego *tukana*. Zabawnie ten ptak wygląda ze swoim ogromnym dziobem, który często jest większy od samego ptaka. Najładniejsze, to dziwne małe ptaszki, których ogon cieniutki dziesięciokrotnie jest dłuższy od niego samego. — Ledwo te biedactwa mogły latać i raz się wzbiwszy, z wielkim wysiłkiem, trzepocząc skrzydełkami, utrzymywały się jak kropka z niezmiernie długim przecinkiem. Monotonność krajobrazu powoli zaczyna się zmieniać. Na zachód w dali widnieją wysokie góry *Małopo*. Drzewa już większe i trochę zielone — widzę po raz pierwszy wspaniałe *baobaby*, które jak gdyby wielkie grzyby wystrzeliwują ponad zwartą i równą dżunglę. — Powoli zbliża się upragniona chwila dojazdu do *Livingstonu*. Za godzinę nareszcie tam będziemy. Staję na szerokiej platformie ostatniego wagonu i wypatruję tak oczekiwanego widoku *wodospadów*. Podobno o 10 km. widać już białe opary, bijące wysoko w górę.

Za kilka chwil wszyscy pasażerowie w oknach. Pokazują sobie na horyzoncie białą

Czarny policjant z okolicy Livingstonu, miasta leżącego nad Zambezi w Afryce Środkowej.

jasną chmurę. Wierzyć mi się nie chce, że to już wodospady. Jesteśmy jeszcze oddaleni o kilka kilometrów, a już pył wodny w postaci białego obłoku zasłania część horyzontu. Kilka chwil jeszcze i pociąg znacznie zwalnia biegu i wjeżdża na *most*. Zamieram w zachwycie. Wspaniały most, rzucony tuż nad wodospadami, pozwala przez chwil kilka podziwiać w całej pełni i grozie największe wodospady świata *„Wiktorja Falls"*. O dwakroć większe od sławnej *Niagary*. Piana wodna z grzmotem wzbija się ku niebiosom. *Huk* tak wielki, że trzeba krzyczeć i to głośno, by być słyszanym. Pod nami *przepaść na kilkaset metrów*, a w dole szalejąca, pieniąca się Zambezi. Cudna ta chwila mija zbyt prędko. Pociąg zatrzymuje się w samym Livingstonie. Na peronie spostrzegam mego przyjaciela, który zbliża się z wyciągniętą ręką.

Czarny, opalony, wesoły, widać że jest w swoim żywiole. Jedziemy wszyscy do hotelu i tu przy whisky dzielimy się wspólnemi wiadomościami, no i układamy przyszłe plany jazdy w dżunglę.

Zaraz po obiedzie Blake zabiera swoją żonę i leci do *Katimy*, gdzie będzie mnie oczekiwał. Za 4 godziny dolecą, ja trzy dni będę musiał tam jechać.

Część wyprawy już tydzień temu wyruszyła w dżungle. Jadą więc ogromne sanie naładowane benzyną, prowiantami i t. zw. ciężkim bagażem, zaprzężone w 24 olbrzymie woły. Mamy je spotkać o 200 km. od Katimy w pełnej dżungli, nad małym stawkiem *Nguesi*.

Nazajutrz mam wyruszyć z Livingstonu dużą lorą samochodową do *Mambowe*, małej *wioski murzyńskiej* nad Zambezi, oddalonej o 100 km. Zabieram ze sobą część bagażu, zakupionego tutaj dla nowej wyprawy. — W Mambowe będzie mnie oczekiwała *łódź motorowa* mego przyjaciela i jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to płynąc wgórę rzeki, za 2 i pół dnia będę w Katimie.

Na drugi dzień od świtu pakowanie i ostatnie przygotowanie do wyprawy. — Zajeżdża duża lora samochodowa, którą mam odjechać do Mambowe, gdzie czeka na mnie łódź motorowa z Katiny. Niestety, bliżej dojechać nie może z powodu katarakt.

O czwartej dojeżdżamy do *Mambowe*. Mała to *wioska murzyńska* nad samym *Zambezi*. Wita mnie naczelnik wioski, stary murzyn, według zwyczaju siedzi w kucki i klaszcze w ręce. Z zapałem i ja biję brawo, a przez tłomacza pytam się, czy jest łódź z Katimy. Jeszcze nie nadeszła. Rozpacz! Moskity gryzą jak szalone, uciekam jak najdalej od rzeki, rozpalamy ogień — trochę to od nich chroni. Niemiła perspektywa spędzania nocy w murzyńskiej wiosce i to bez siatek, psuje mi humor, bo już porządnie jestem spuchnięty. — Wypytuję się o zwierzynę. Podobno o kilka kilometrów w górę rzeki są *antylopy*. — Niezwłoczna umowa z naczelnikiem, że o ile mi da dobrego przewodnika i zabiję antylopę to dostanie całe mięso. W mgnieniu oka kilku czarnoskórych wdrapuje się na automobil i stosunkowo dobrym terenem jedziemy na podjazd.

Wyjeżdżamy na *łąki* i niebawem spostrzegam *pierwszą antylopę wodną*. Zaczynam podchodzić, wiatr mam dobry. Na 200 kroków decyduję się na strzał; w chwili mierzenia moja antylopa w skok i ginie w gąszczu. Nic nie rozumiem: wiatr miałem dobry, podchodziłem w lesie, oglądam się i widzę na otwartem polu moich murzynów. W pasji podbiegam do nich i o zgrozo widzę, że *murzyni rozumieją po polsku*. Przekleństwa lecą na ich kudłate łby, robią swój efekt i tłómaczowi przyrzekają, że już się z wozu nie ruszą.

Jedziemy dalej. Ciemno już zaczyna się robić, gdy w dali spostrzegam stado *antylop impali*, 2 byki i 6 łań. Z dobrym wiatrem podchodzę w rzadkim lesie. Jedna łania musiała mnie zwietrzyć lub zobaczyć i stado rusza *galopem*. Widzę przez chwilę w luce byka i ryzykuję strzał, gdy wpada w gąszcz. W chwili strzału widzę tylko tył i zakładając, jak do kuropatwy, pociągam za cyngiel. Efekt wspaniały. Impala wyskakuje jak z procy w górę i wali się jak gromem rażona. Radość szalona, pierwszy poważny strzał kulą na czarnym lądzie i to do tak pięknego byka, rzadkiej antylopy w Afryce Południowej. Ze strzelbą gotową do strzału zbliżam się do leżącej i jeszcze ruszającej się impali, na bliski dystans skracam męczarnie tej ślicznej antylopy, wielkości naszego dużego daniela.

W Mambowie rozpacz. Łodzi niema. Kombinujemy, gdzie noc spędzić, a tu moskity tną jak szalone, palimy ognie. Nagle około 10-tej słyszymy warkot motoru i wśród wrzawy i krzyków murzynów dobija duża łódź do brzegu. Na przodzie biały pan John, administrator Blake'a.

W jednej chwili namioty są rozpięte, herbata się już parzy, a narazie posilamy się godnie whisky z podwójną porcją chininy. Od Johna dowiaduję się, że Blankowie mieli wypadek. Lądując w Katinie, wykoziołkowali się z aparatem do góry nogami, wjechawszy w moczar. Na szczęście nic im się nie stało. Niema słońca bez chmurki; pokazuje się, że moja siatka ma gdzieś dziurę i moskity w niej szaleją, o spaniu niema mowy, to też o świcie pakowanie i wyruszamy.

Rozkoszuję się cudnym widokiem. Zambezi wolno płynie, niezmiernie szeroka, czasami nie widać drugiego brzegu. Brzeg zarośnięty wysokiemi *krzakami*, tylko od czasu do czasu wystrzela, jakby potężny gmach, wspaniały *baobab*, a na nim krocie *ptactwa* od ogromnych sępów począwszy, aż do małych świergocących ptaszków. Znużony jednak bezsenną nocą, rozciągnięty wygodnie w leżaku, zasypiam. Po godzinie budzę się z krzykiem.

Słoneczko afrykańskie zrobiło swoje. Miałem na szczęście hełm na głowie, ale ręce po łokieć były nie osłonięte. Rezultat też fatalny. *Skóra spalona*, czerwona jak rak i do tego paskudnie bolesne bąble, palą do zwarjowania. Smarowanie wazeliną trochę pomogło, ale od tego czasu już z dużym respektem odnosiłem się do podzwrotnikowego słońca. Upał zaczyna być szalony, promienie odbijane w wodzie potęgują żar, oczy palą, szukam ratunku u mego towarzysza, który łódź prowadzi. Z płacht robią mi rodzaj namiotu nad głową; zaczynam oddechać i wyciągnąwszy dubeltówkę *czatuję na ptaki*, których tysiące widać na brzegach, ale pod lufę im jakoś nie sporo. Próbuję kulą na wielkie odległości, ale drganie łodzi powoduje same pudła. Zniechęcony zaczynam fotografować i czatować na *krokodyle*, których jest tu ogromna moc.

Pejzaż stale się zmienia, dżungla coraz gęstsza, drzewa większe. Płynąc około brzegu napotykamy szerokie bagniste łąki, a na nich miljony ptactwa, które usłyszawszy i ujrzawszy naszą łódź, z krzykiem i łopotem zrywają się, by kilkaset metrów dalej w ciasnej gromadzie zapaść. Wśród tych gromad zauważyłem moc *czapli*, *żurawi*, czarnych *bocianów*, *kormoranów*, *gęsi*, *kaczek*, niezliczone ilości *kulonów* i *kuligów* i mniejszego *ptactwa błotnego*.

Niestety, wody w tej porze roku (marzec) bardzo wysokie. Ławice piaskowe, ulubione legowiska krokodyli pod wodą, więc zobaczenie *krokodyli* lub *hipopotamów* na bli-

Dużą łodzią motorową, naładowaną po brzegi bagażami i sprzętem myśliwskim, płynął autor niniejszego artykułu przez kilka dni wgórę rzeki Zambezi ku granicy Angoli i Konga Belgijskiego w Afryce Środkowej.

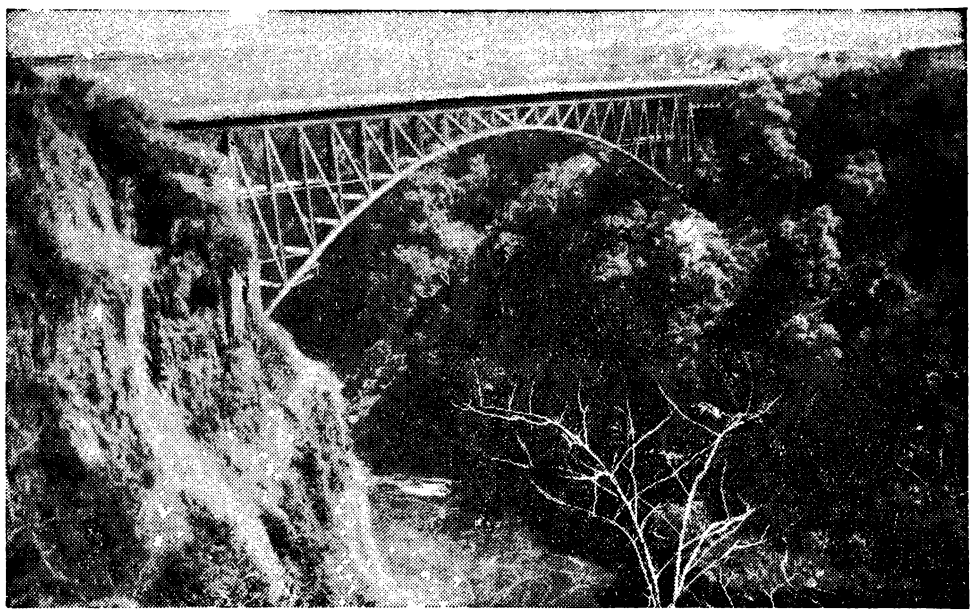

Wspaniały most nad rzeką Zambezi w okolicy Livingstonu, w Afryce Środ., jako najwyższy szczyt techniki. Przez ten most mkną pociągi pospieszne, łączące Kapsztad z Kairem.

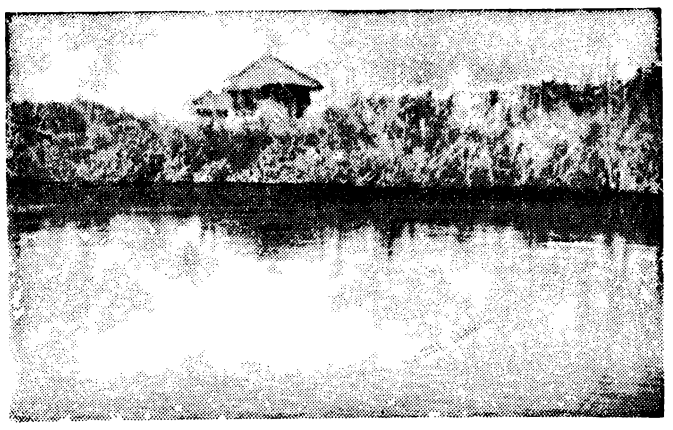

Brzegi rzeki Zambezi w Afryce Środkowej, zarosłe gęsto krzakami, z osadami murzyńskiemi.

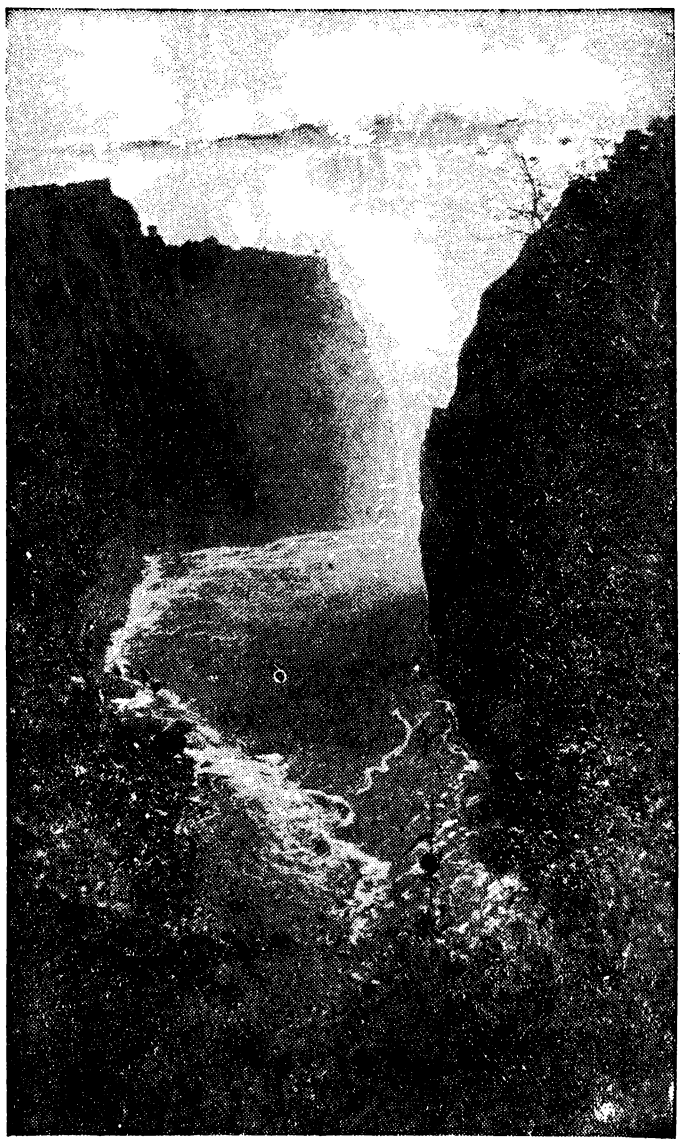

Widok na majestatyczne i potężne wodospady „Wiktorja" na rzece Zambezi koło Livingstonu w Afryce Środkowej.

ski dystans, prawie niemożliwe. Duszę się wprost z gorąca.

Każda *noc podzwrotnikowa* wywiera dziwne wrażenie. Chociażby zachody słońca. Słońce, jak gdyby wielka nie rażąca kula świetlna dotyka horyzontu. W mgnieniu oka wszystko się zmienia. Kolory niesamowite, w których fiolet i karmin są podstawą światła i cieni, miljonami barw zawładają światem całym. Kraj zmienia się nie do poznania. Dziwny i przyjemny chłód, po całodziennym żarze ogarnia atmosferę. *Dżungla,* jak gdyby za pomocą różdżki czarodziejskiej, *nagle się budzi.*

Ptaki, zmęczone skwarnym dniem, zaczynają *śpiewać;* gdzieś wysoko ciągną żórawie i wtórują naprzeciw ciągnącym gęsiom. Cała dżungla żyje jakiemś silnem, nieznanem życiem. Ciche skowyty *szakali* zmieniają się w nagłe szczekanie małego pieska. Gdzieś daleko spazmatyczny śmiech *hjeny* ginie w dali, by wrócić echem spotęgowanym pomrukiem *lamparta,* polującego w niedostępnych oczeretach. Prawdziwe życie dżungli, ze swemi prawami, tragedjami, walką krwawą o byt, gdzie bek zarzynanej antylopy wtóruje miłosnym pomrukom drapieżników, wszystko zlewa się w potężną a silną harmonję. Do tych potężnych akordów życia podzwrotnikowego, dołącza się niebawem dziwna orkiestra. Ciche i pojedyńcze narazie metaliczne *dźwięki* zaczynają się zlewać w dziwny *chór kastanietów* o kilkunastu tonach. Zrazu słabe, nabierają takiej mocy, że chwilami przygłuszają życie dżungli. Wierzyć się nie chce, że to małe *zielone żabki* tyle hałasu zrobić potrafią.

Zdala widać światełka. To wieś murzyńska *Seszek,* pierwszy etap naszej podróży po Zambezi. Przybijamy do brzegu, ogień wesoło strzela w noc ciemną; z radością wyciągam nogi po całodziennem siedzeniu. Wnet otoczeni jesteśmy chmarą murzynów. Opodal widnieje duża wieś z trzema murowanemi domami. Jest to *ostatni punkt cywilizacji* w tych stronach. Niebawem mamy gości i to jedynych *białych,* mieszkających w tej wiosce. Nadchodzi wysoki, schorowany na malarję *naczelnik poczty, kupiec,* posiadający duży sklep kolonjalny i *urzędnik rządowy,* ściągający z murzynów podatek. Znużony upałem, natychmiast kładę się spać i kamiennym snem zasypiam.

I tu nie danem mi było spokojnie spędzić całej nocy. Budzę się nagle, słysząc dziwne odgłosy, jak gdyby *bulgotanie, chrapanie, sapanie* i mam wrażenie, że ktoś niedaleko mnie, sierpem tnie szuwary. Budzę mego towarzysza i z bronią gotową do strzału, pytam się cicho, co to za odgłosy. On chwilę nasłuchuje, śmiejąc się odpowiada: *„Kibobo"* i w tej chwili zasypia. Domyśliłem się, że to *hipopotamy* wyszły na żer i pasą się niedaleko naszego obozu. Uspokojony kładę się zpowrotem.

Wstajemy o wschodzie słońca, bo duży etap przebyć dzisiaj musimy. Wsiadając do łodzi, pytam się, czy dużo tu krokodyli. Znudzonym głosem odpowiadają mi, że właśnie na miejscu, gdzie nasza łódź przybiła wczoraj, krokodyl porwał ośmioletniego chłopca, który czerpał wodę. Podobno krokodyle wielkie czynią spustoszenie między ludnością tubylczą. Podczas mego pobytu słyszałem o kilku wypadkach. Dowodem niebezpieczeństwa ze strony tych obrzydliwych gadów jest fakt, że ludność tubylcza, mieszkająca nad rzekami, *nie umie pływać,* mimo, że głównie trudni się rybołóstwem.

— Książe czuje się urażony twoim postępkiem, winieneś się usprawiedliwić.

Kamiński, usłyszawszy to, postanowił w najbliższym dniu udać się na audjencję do księcia i wytłumaczyć się. Książę Józef, zobaczywszy gościa, odwrócił się doń plecami:

— No, chwała Bogu — rzecze nie zrażony tem Kamiński. — Powiedziano mi, że Wasza Książęca Mość gniewa się na mnie, widzę jednak w tej chwili, że to nieprawda.

— Dlaczego nieprawda? — pyta zdziwiony książę Józef.

— Dlatego, że Wasza Książęca Mość zwraca się do mnie plecami, a ja wiem dobrze, że nie jest jego zwyczajem czynić to w obliczu nieprzyjaciela.

MIESZANE TOWARZYSTWO.

(y) Nadwornego swego fryzjera zaprosił raz król angielski *Edward VI* na wielkie przyjęcie, jakie wydał w Buckingham Palace. Następnego dnia pyta go król:

— Jakże się panu wczoraj podobało? Jak się pan bawił?

— Owszem, owszem, dziękuję Waszej Królewskiej Mości, tylko pozwolę sobie jedno zauważyć. Oto, mojem zdaniem, wśród uczestników były reprezentowane zbyt różne sfery, słowem towarzystwo było nieco mieszane.

— To prawda — odpowiada król — najbliższym razem zaproszę samych tylko fryzjerów.

CHAPLIN I MAC DONALD.

(r) Gdy angielski premjer *Mac Donald,* po skończonej sesji gabinetu, na której przeprowadzono rozwiązanie parlamentu, opuszczał budynek parlamentu, natknął się na znakomitego komika filmowego *Chaplina.*

— Co pan porabia, drogi Charlie? — zapytał Mac Donald.

— Myślę nad nowym filmem. A pan? Podobno pan też przygotowuje na dzisiaj wieczór wielkie widowisko?

— Możliwe — odpowiedział premjer. — Ale my politycy nie możemy sobie naszych scen i scenarjuszy tak wyszukiwać, jak wy, artyści.

— Dlatego też wasze sztuki nie podobają się publiczności — odciął się Chaplin.

LOMBROSO I KRUK.

(r) Lombroso kupił sobie pewnego razu pięknego kruka.

— Bardzo ładny kruk — pochwalił jeden z przyjaciół. — Takiego ptaka mieć, to prawdziwa przyjemność!

— Nie dlatego go kupiłem — odpowiedział poważnie uczony. — Ponieważ ludzie utrzymują, że kruki żyją do trzystu lat, chciałbym więc osobiście przekonać się o tem.

ROZTARGNIENIE NEWTONA.

(r) O *Newtonie* opowiadają, że jego roztargnienie przechodziło wszelkie granice. Pewnego razu zagubił gdzieś swój zegarek. Posłał więc list do swego przyjaciela, u którego bawił ubiegłego wieczora, z zapytaniem, czy przypadkiem zegarek nie został u niego. List miał dopisek:

„W tej chwili właśnie zegarek się znalazł, nie trudź się zatem poszukiwaniem. Pozdrowienia — twój Newton".

ZDEMASKOWANY ZNAWCA.

(Kn) Ludwik XV zapytał raz jednego ze swoich dworzan, który udawał wielkiego znawcę sztuki, wskazując na piękny obraz Chrystusa ukrzyżowanego, czyjego jest pendzla.

Dworzanin odrzekł z godnością:

— Wasza Królewska Mość żartujesz sobie ze mnie. Każdy widzi przecież, że to jest robota malarza INRI.

Kurjer szachowy

Nr. 49 (331).

L. Knotek (III. nagr. w konkursie Ustredni Jednota ecskosl. sachistu" w r. 1930).

Czarne: Ke6, Wc1, Sd8, piony: b3, c3, e5, e7, g3, g4, h6 (10).

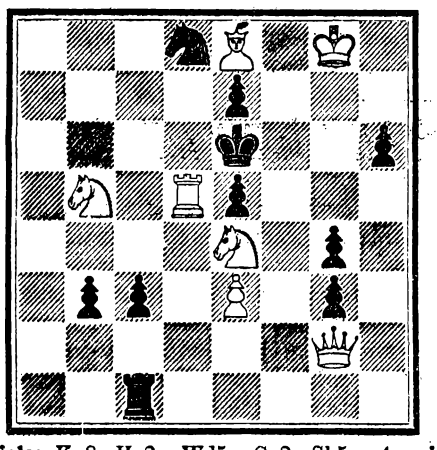

Białe: Kg8, Hg2, Wd5, Ge8, Sb5, e4, pion: a3 (7).
3-chodówka. 7+10=17.
Mat w 3 posunięciach.

R. Reti („Berliner Tageblatt" 1923).
Czarne: Ke8, piony: a5, d6 (3).

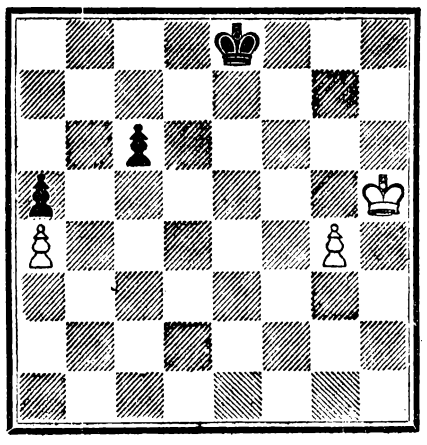

Białe: Kh5, piony: a4, g4 (3).
Końcówka (+) 3+3=6.
Białe zaczynają i wygrywają.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NRU 48 (330):

3-chodówki E. Arłamowskiego: 1. a4! (grozi 2 S—f7+ i 3. H—b5×); **I.** 1... G—h5 2. H—b5! (2. S×c4? K—d7! i niema × w 3 pos.) i 3×; **II.** 1.. G—f3 2. e×d4 i 3×; **III.** 1.. c3 2. e4 (2. e×d4? G—b5 i niema × w 3 pos.) i 3×; **IV.** 1... W—g5 (—g7) 2. e4 (2... e×d4? 3. W×e5 i niema × w 3 pos.) i 3×; **V.** 1... S—g5 2. S—f4 i 3×.

Złudne: 1. H—b5? S—g5 i niema × w 3 pos.

Końcówki D. M. Greczkina: 1. S—b3+ K—c3! (A) 2. S—a1! b1H 3. H—h8+ K—d2 4. H—h6+ K—c3 5. H—g7+ K—d2 6. H—g5+ K—c3 7. H—e5+ K—d2 8. H—e3+ K—d1 9. H—g1+ i wygrywa.

(A) 1... c×b3 2. H—d8+ K—c2 3. K—e2 (—e3) i wygrywa.

PARTJA NR. 49 (331).

Białe: E. Lundin. **Czarne: A. Sjöstam**

grana w turnieju o mistrzostwo miasta w Sztokholmie w r. b.

Gambit hetmana.

1. d4 d5	4. G—g5 Sb—d7
2. c4 e6	5. e3 c6
3. S—c3 S—f6	6. S—f3 a6 (1)
7. a3! (2) G—e7	18. f5 c5
8. H—c2 0—0	19. f×e6 f6! (7)
9. Wa—d1! (3) Wf—e8	20. S—f7! c×d4 (8)
10. G—d3 d×c4	21. H×c7 W×c7
11. G×c4 b5	22. Se—d6! We—b8
12. G—a2 G—b7	23. e×d4 G—a8
13. 0—0 Wa—c8? (4)	24. Wd—c1 W×c1
14. S—e5 S—f8 (5)	25. W×c1 b4
15. G—f6! G×f6 (6)	26. a×b4 W×b4
16. S—e4 G—e7	27. S—f5 **Czarne poddały się (9).**
17. f4 H—c7	

UWAGI:

(1) Najkorzystniej jest grać to posunięcie po uprzedniem 6... G—e7 lub też 6... 0—0.

(2) Polecone przez Grünfelda, aby po d×c4 G×c4 b5 cofnąć się: G—a2.

(3) W tej pozycji najwłaściwsze kontynuowanie ataku. Dla przykładu jak w gambicie hetmana, tem otwarciu, obfitującym w mnóstwo subtelnych odmian, czarne nie grając c6 (odmiana słowiańska) mogą sprowadzić korzystne wyrównanie gry, przytaczamy warjant: 1. d4 d5 2. c4 e6 3. S—c3 S—f6 4. G—g5 G—e7 5. S—f3 Sb—d7 6. e3 0—0 7. H—c2 i teraz c5!

(4) Czarne dążą do sforsowania c5. 13... H—b6! należało grać.

(5) Jeśli 14... S—d5 to 15. G×e7 H×e7 16. S—e4!

(6) Gdyby 15... g×f6, to 16. S—d3, poczem ewent. b4.

(7) 19... f×e? 20. W×f8+! G×f8 21. S—g5+, lub 20... K×f8 21. W—f1+ G—f6 22. S×f6 g×f6 23. W×f6+ K—g8 (—g7) 24. W—f7 H×f7 25. S×f7 K×f7 26. H×h7+ i H×b7 z wygraną.

(8) 20... G×e4 należało grać.

(9) 27... W—b7 28. G—d5! lub 28. Sf—d6 W dowolnie 29. S×e7 W×e7 30. S—f5.

Lundin zdobył tego roku mistrzostwo Szwecji (przed Stoltzem i Stahlbergiem!) i należy dziś do elity mistrzów szwedzkich.

Odpowiedzi Redakcji.

„H-SKI, GRODNO". 1) „Przegl. współczesny" Kraków, ul. Sławkowska 83. 2) Naokoło Świata — Warszawa, Zgoda 12. Dwa inne zamówić przez księgarnię Gebethnera i Wolffa, Warszawa, Zgoda 12.

WP. JERZY KWIECIŃSKI. Zwracamy.

„IRA". Może.

WP. BOHDAN HAMERA, WP. MICHAŁ MAZURKIEWICZ, WP. BRONISŁAW KOCHMAŃSKI, WP. MARJA WAKSMUNDZKA, „G. M. J." — Nie wydrukujemy.

„RIH". Tym razem nie.

WP. JAN CUDAK, WP. ADA GROTA. — Nie skorzystamy.

WP. M. E. K. — GDYNIA. Może w „Kurj. Sportowym".

„PODHALANIEC — KRAKÓW". Rzecz zadługa.

„J. K. — WARSZAWA". Wiersz przydługi.

„BEM". Jeden wiersz daliśmy do „Kurj. Kob.".

„JAXA — GRYF". Mile, ale zlekka banalne.

„JÓZ-DA". Słabe.

„R. L. M.". Ładne, ale bez cech oryginalności.

„ROŻEK". Są dobre momenty, ale całość blada.

WP. S. TOMASZ. Nie skorzystamy.

Anegdoty ciekawe.

O KSIĘCIU JÓZEFIE.

(y) W swoim czasie wydał *książę Józef Poniatowski* w pałacu „Pod Blachą" w Warszawie ucztę, na którą zaprosił wiele osób z towarzystwa, a przedewszystkiem swoich przyjaciół i towarzyszy broni. Do tych ostatnich należał także późniejszy generał jazdy wojsk napoleońskich Kamiński, który jednak zapomniał zupełnie o zaproszeniu księcia i nie pojawił się na uczcie. Na drugi dzień spotyka go jeden z przyjaciół i mówi:

Kącik rozrywkowy.

2. SZARADA.

(Ul. Eska ze Stryja).

Po pierwszym, gdy w kieszeni nie jest jeszcze dziura
To *„pierwsze"* odwiedzasz chętnie powracając z biura,
Bo wiesz, że „wspak *pierwsza* wprost *druga"* — jest bardzo daleko,
Gdzie żona twa na kuracji — dzieci piją mleko,
Więc służącej, co na imię *„druga, trzecia, czwarta"*
Ufasz w zupełności, bo jeszcze coś warta,
Gdy więc wieczorem owa wierna sługa
Czeka cię przy stawie przy niej *„pierwsza druga"*
To wtedy *„trzecia czwarta"* zmienia się u ciebie,
Bo jesteś słomianym — przytem w siódmem niebie
I tak płynąc — u nóg sługi ty jesteś służącym
I jako w Wenecji pod słońcem gorącem
Spiewasz jej cudnie — w sercu coś się marzy,
„Całość" jest często na ustach weneckich wioślarzy.

Szarada krzyżykowa Nr. 47.

(Ul. Eska ze Stryja).

Pionowo: 1) świątynia wszystkich bożków w starożytności; 2) smoła pogazowa, 4) tkanina, 6) ziemia w jęz. obc., 8) ojczyzna pierwszych rodziców, 10) rodzaj młota do rozbijania kamieni i ziemi, 12) wyrzutek społeczny, 14) książę (arab.), 16) stan powietrza, pogoda, 18) sieć na ryby, 20) skorupiak, 22) inaczej przepych, okazałość, 24) półwysep w Europie, 26) imię mahometańskie, 28) święta księga Mahometan, 30) wschód w jęz. obc., 32) zaostrzone koły z drzewa, 34) bogini grecka, 36) inaczej popas, spoczynek, 38) jutrzenka, 40) jednostka próby złota, 42) poemat liryczny, 44) inaczej wrzątek, 46) większa ilość drzew 48) czapka, 50) podziemia, piekło u star. Greków, 52) miasto na Śląsku w Czechosłowacji, 53) machina, 54) naczynie, 56) pani w jęz. obc., 58) ogrody owocowe, 60) naczelnik okręgu we Francji (burmistrz), 62) inaczej atak serca, 63) wnętrze kościoła, 64) pozostałość po płynach na dnie naczynia, 66) część fryzury damskiej, 68) zawiadomienie, 69) uczucie, 70) kraj w Alpach, 71) imię żeńskie zdrobniałe, 72) inaczej „pali się", 74) inaczej konieczność, 76) i 100) nierozdzielna więcej cząstka, 78) okres czasu, 80) służy do osuszania gruntów, 81) czworobok, formowany przez wojsko, najeżony bagnetami, 82) bożek leśny, 83) służy do opatrunków (obkładów), 84) inaczej porządek wspak, 86) „módl" się w jęz. martw., 88) zaimek wspak, 90) tytuł członka Izby wyższej ang., 92) drżenie, obawa, 93) zwykły termin wypłaty weksla, 94) mała rzeka; 96) oprawa obrazu, 98) mityczne duchy zmarłych przodków czuwające nad rodzinami, 102) roślina, 104) ślad, 106) rodzaj bluzki damskiej, 108) inaczej zabawa towarzyska, 110) inaczej „nie rusz", 111) choroba, 112) imię męskie, 113) mitologiczna bogini, żona Kronosa, matka Zeusa, 114) część twarzy, 115) zaimek wspak, 116) jadowity wąż w Indjach, 118) rozbiór (w chemji).

Poziomo: 1) spółgłoska fonet., 2) cytadela w Londynie; 3) patrz pod 86 pion., 5) kraj błogosławiony, 7) ruch ptaka w powietrzu (wspak), 9) pytajnik, 11) owad, 13) zwierzę, 15) śpiewak u star. Greków, 17) przyimek, 19) imię żeńskie zdrobniałe, 21) marka znanego aparatu fotograf., 22) zbiór, większa ilość (np. papieru), 23) pustynia w Afryce, 25) część pościeli, 27) przyrząd do mierzenia przestrzeni, 29) spółgłoska fonet., 30) styl artystyczny z czasów pierwszego cesarstwa we Francji, 31) przyrząd, 33) żupa solna, kopalnia, 35) mityczna istota, pół kobiety, pół ryby, 37) spółgłoska fonet., 39) nazwisko króla jednego z państw europejskich, 40) przyozdoba do stroju męskiego, 41) zalążek rybi (wspak), 43) bóg otchłani i wód u Asyryjczyków, (wspak), 45) litera grecka (fonet.), 47) owoce południowe, 49) ustęp w poemacie, 51) zimna potrawa mięsna, 53) dwie spółgłoski, 55) karta do gry, 57) ułomności, błędy, 59) in. murzyn (wspak), 60) szybko na jedno oko, 61) miara powierzchni, 65) przednia część budynku, 67) półkulisty szczyt gmachu, 73) bożek miłości, 75) inaczej pierdnąć, 77) płaski szczyt dachu, służący do wypoczynku, 79) opracowanie piśmienne jakiejś sprawy biurowej, 80) skrót na 1/100 kg., 85) miasto w Mezopotamji, 87) owad wspak, 89) rozbójnik morski, 91) = 55), 92) patrz pod 104) pion., 95) miłośnik (np. sztuk), 96) wieści (z łac.), 97) kolonja francuska w Afryce, 99) zaimek w l. mn. wsp., 101) nazwa oddziału wojskowego, skrót., 103) bóg otchłani i wód u Asyryjczyków, 104) droga, bieg, 105) „kocham" w jęz. martwym, 106) owad, 107) przyimek, 108) inaczej mowa, 109) zabawa taneczna, 117) pierwiastek promieniotwórczy, 119) patrz pod 52) pion.

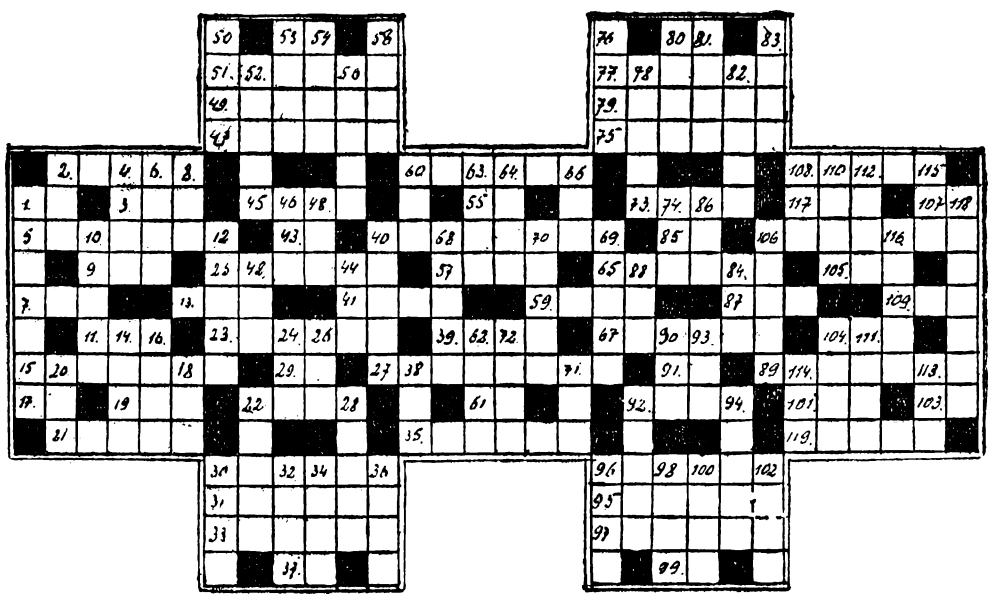

Kącik dla Pań.

Dwie różne sylwetki kobiece.

1) Żółta suknia wieczorowa z lśniącego jedwabiu w stylu lat 60-ch. 2) Wytworny biały żakiet z matowego jedwabiu, jako uzupełnienie popołudniowej sukni z czarnego crêpe de Chine; 3 i 4) Dwa modele najnowszych kapeluszy zimowych. 5) Pyjama wieczorowa, z wzorzystego jedwabnego muślinu.

(lew.). Kobieta, stosująca się do mody, ukazuje nam w chwili obecnej dwojaką swą sylwetę: jedną pełną prostoty, niewyszukaną w linji, drugą, wprost przeciwnie, pełną wyszukanej fantazji i doprowadzonej obecnie do szczytu kobiecości. Dwa te odmienne prądy krzyżują się w tej chwili w modzie; oba mają swoje zwolenniczki.

Pierwsza moda, prosta w ogólnej linji, panuje przedewszystkiem w stroju przedpołudniowym. Do użytku rannej przechadzki czy to dla przyjemności czy też „za sprawunkami", tak samo jak i do sportu, nadaje się przedewszystkiem płaszcz z grubej wełny, w stylu tailleur; charakterystyczną jego cechą są przeważnie duże ranwersy oraz praktyczne kieszenie. Płaszcz taki spełnia odpowiednio swoje przeznaczenie, to znaczy chroni przed zimnem, dzięki temu, że jest szczelnie na guziki zapięty, najczęściej ponadto przytrzymany jeszcze na linji stanu, paskiem. Najmodniejszym kolorem na tego rodzaju okrycie jest kolor brązowy, o ciepłym odcieniu, wpadającym w czerwień, dalej ciemny granat, wpadający w śliwkowy, oraz zielony.

W Paryżu, gdzie temperatura jest o tej porze łagodniejsza, aniżeli u nas, spotyka się w godzinach porannych na ulicy wiele kobiet w kostjumach, w których przeważają również wyżej wymienione barwy.

W godzinach popołudniowych sylwetka kobieca zmienia się zasadniczo, zatracając prostotę i surowość linji. Płaszcze popołudniowe są już bardziej wyszukane w fasonie, przeważnie bogato ozdobione futrem.

Wśród sukien wieczornych, bez względu na to, czy są one przeznaczone na t. zw. petits soirs, czy też są to już toalety wieczorowe w wielkim stylu, panuje jedna naczelna zasada: fourreau przylega ściśle do ciała, aż do linji powyżej kolan i dopiero u dołu suknia rozszerza się, nawet dość znacznie, przy pomocy rozmaitych godetów, falban, fałdów, plisowań itd.

Mimo, że suknia czarna jest najpraktyczniejszą i najbardziej może elegancką, niemniej kolory żywe cieszą się w tym roku dużem powodzeniem. Materjały matowe używane są bardziej na suknie wieczorowe, aniżeli błyszczące. Najlepiej nadaje się na ten cel crepe marocain i jedwabny organdi, który ma tę zaletę, że się nie mnie i wygląda zawsze świeżo.

Dekolt bardzo głęboki na plecach, sięgający nieraz aż prawie do linji stanu, oto hasło tegorocznych toalet wieczorowych. Ponieważ noszenie tak głęboko dekoltowanej sukni może być czasami kłopotliwe, zarzuca się w takich razach na suknię lekkie okrycie w rodzaju cape, bolera lub pelerynki. Znana firma konfekcyjna paryska Lanvin, lansuje do wieczorowej toalety z jedwabiu matowego, krótki żakiecik ozdobiony lśniącemi pailletami. Augustabernard uzupełnia toaletę wieczorową długą szarfą z cieniutkiego aksamitu, obrzeżoną gronostajem. Szarfa taka, zarzucona na ramiona i zakrywająca głęboki dekolt na plecach, odgrywa rolę cape.

REBUS. *(Ul. Włodz. Krzyżanowski z Chełmna).*

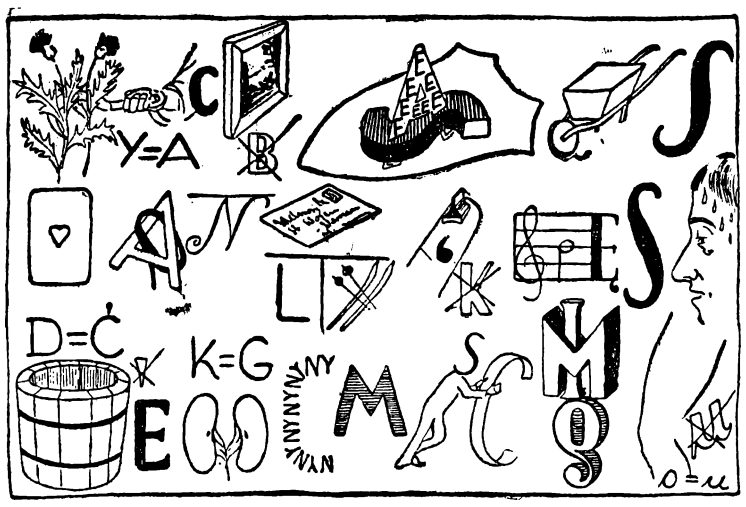

ROZWIĄZANIE SZARADY Z NRU 50.

Parlamentaryzm.

ROZWIĄZANIE REBUSU Z NRU 49.

W kredzie kupiec skraca biedę.

ROZWIĄZANIE REBUSU Z NRU 50.

Udoskonalenie produkcji i przewaga jej wobec różnych państw wróży wielkie nadzieje na przyszłość.

Wesoły kącik.

REKLAMA.

Pewien kupiec zaprosił do siebie swego doradcę prawnego, celem ułożenia ostatniej woli. Układają więc testament, a na końcu kupiec żąda wstawienia do testamentu klauzuli, na mocy której każdy pracownik, który przepracował w przedsiębiorstwie spadkodawcy 30 lat, ma otrzymać 10.000 zł.

— Ale tak długo przecież pański interes nie istnieje! — woła zdumiony adwokat.

— To prawda, a ja też nie mam tych 10.000 złotych, ale niech pan sobie wyobrazi, mecenasie, co to będzie za bajeczna reklama.

DROGI TOWAR.

— To Awanturniccy się pogodzili? Sam słyszałem, jak on mówił do niej „moja droga", co jest nawet dziwne, bo ona zła i sucha, jak zapałka.

— Właśnie zapałki teraz podrożały.

CO LEPSZE.

— Widzisz, człeku, ja mam detektor i łapię nań trzy stacje, a Ferdek ma pięciolampówkę i nic nie słyszy.

— Nie bujaj!

— Bardzo proste — Ferdek jest głuchy.

Rozwiązanie szarady Nr. 46.

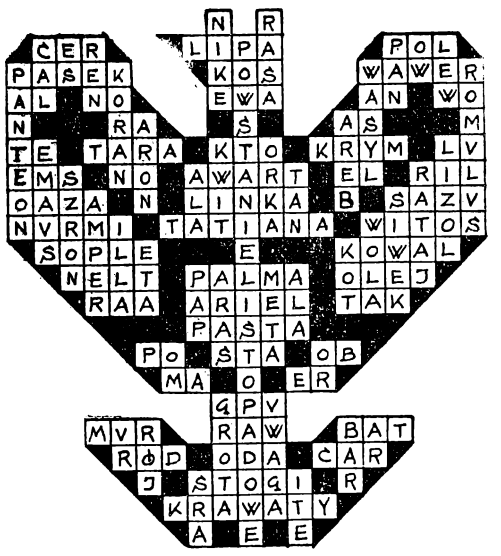

PIĘKNO PRZYRODY.

— Patrz, jaki przepiękny widok roztacza się przed nami!

— Nie przeszkadzaj mi, czytam taką interesującą powieść.

— I o czemże czytasz?

— Właśnie autor opisuje tam piękno przyrody!

ZACZEPKA.

(L) Dwunastoletni chłopiec pali papierosa na ulicy. Zauważyła to przechodząca pewna dama, klepie go więc po ramieniu i mówi:

— Coby na to powiedział twój ojciec, gdyby cię spotkał palącego?

— A coby dopiero powiedział na to mąż pani, gdyby się dowiedział, że pani zaczepia na ulicy obcych mężczyzn?

WIE ZA CO SIEDZI.

— Oskarżony, pan podobno włamał się do sklepu i wybrał sobie największą i najtłuściejszą szynkę.

— Prześwietny sądzie, pomyślałem sobie, jak już brać, to brać... Przecież szkoda dla chudej szynki siedzieć w kryminale.

PSYCHOLOGJA KOBIETY

— Gdy pragnę coś bardzo drogiego otrzymać od męża, pytam się go zawsze, czy spełnienie mych życzeń nie jest zbyt ciężkie dla niego.

— A potem?

— Potem mówię: prawdziwemu mężczyźnie sprawia radość pokonywanie trudności.

TAKŻE POCIECHA.

Starsza panienka (wzdychając):

— Tak, tak, osiągnęłam już niestety ową nieszczęsną trzydziestkę...

Kawaler: — Niech się pani nie smuci, i trzydziestka minie!

POWÓD.

— Czy pańska żona miała powód, gdy pana biła?

— Powodu nie miała, tylko miotłę, proszę pana sędziego.

TERAZ ZMIENI ZDANIE.

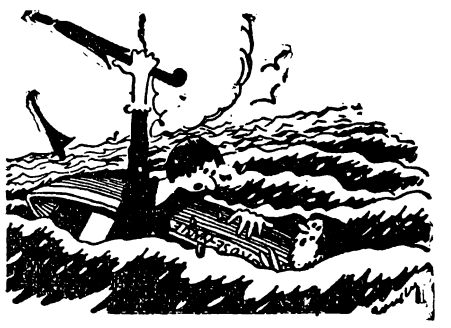

— Powiedz raz jeszcze, że wolisz wycieczkę morską aniżeli górską...!